

Tomasz Sobierajski

WYBIERAM ŻYCIE

Rozmowy o najważniejszym

**WYBIERAM
ŻYCIE**

Tomasz Sobierajski

WYBIERAM ŻYCIE

Rozmowy o najważniejszym



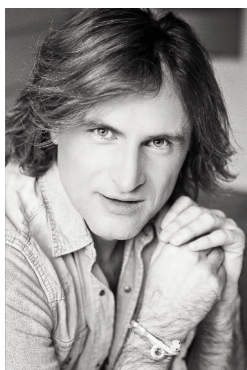
Zbiór rozmów, który trafia w Państwa ręce, pozwala zajrzeć do świata na co dzień dla wielu z nas niedostępnego. Dotychczas przemyślenia i emocje osób starszych i przewlekle chorych, przebywających w placówkach opiekuńczych, a także ich bliskich były znane jedynie rodzinie i personelowi tych ośrodków. Książka „Wybieram życie” to zmienia.

Ta przejmująca lektura może dla niektórych z nas stać się drogowskazem, podpowiedzią, co robić, kiedy ktoś, kogo kochamy, wymaga ciągłej i fachowej opieki.

Jestem pewna, że każdy z nas chciałby zapewnić bliskiej, niesamodzielnej osobie wszelką pomoc. Otoczyć starszych rodziców tak czułą troską, jakiej zazналиśmy od nich w dzieciństwie, zadbać o współmałżonka w jak najlepszy sposób. Niestety czasami nie jest to możliwe z uwagi na stan zdrowia osoby starszej, specyfikę choroby, czy też ograniczenia dotyczące samego opiekuna – takie jak wiek, sytuacja życiowa. To są ogromnie trudne wybory, do których nikt nas nie przygotował. Dopiero od niedawna, jako społeczeństwo, konfrontujemy się z wyzwaniem, jakie niesie ze sobą odejście od tradycyjnego modelu wielopokoleniowej rodziny. Dlatego czujemy się zagubieni, kiedy stajemy przed koniecznością rozstrzygnięcia dylematu, jak troszczyć się o starszych i przewlekle chorych bliskich, gdy sprawowanie nad nimi opieki jest ponad nasze siły. Ważne, by tych trudnych wyborów i decyzji nie oceniać.

Jolanta Kwaśniewska

Od autora



Rozmowy z bohaterami tej książki to jedna z najważniejszych lekcji, jakie odebrałem w życiu. Spotkania z osobami, które doświadczają na co dzień szeregu trudnych chwil, sprawiły, że zacząłem inaczej postrzegać świat, w którym żyję. Doceniam to, że mogę swobodnie chodzić, że jestem nieograniczony przez ciało, a moi bliscy są zdrowi. To, co większości z nas wydaje się normalnością, dla bohaterów tej książki jest heroiczną walką, którą toczą dzień po dniu z zachowaniem zachwycającego dystansu,

spokoju, pogody ducha i z nadzieją na lepszą jakość życia.

Przyzwyczajeni do połyskliwego świata, zapominamy o tym, że każdy z nas jest bardzo kruchy i przyjdzie chwila, w której będziemy musieli podjąć bardzo trudne decyzje dotyczące zdrowia i życia – naszego i naszych bliskich.

Spędziłem z moimi bohaterami wiele godzin, przygotowując się do wywiadów, rozmawiając z nimi i pracując nad ostateczną formą naszych rozmów. Bardzo dużo się od nich nauczyłem i wiem, że powiedzenie: „Znamy się na tyle, na ile nas sprawdzono”, jest jednym z najtrafniejszych, jakie kiedykolwiek słyszałem. Są bowiem w życiu sytuacje, w których słowa „nigdy” i „zawsze” – wskutek okoliczności, w jakich przyszło żyć nam lub naszym bliskim – nagle tracą swoją siłę, gasną, blakną, wypalają się i zamieniają w „a może”, „czasami”, „kiedyś”...

Rozmowy z bohaterami tej książki pokazały mi, jak ważny jest szacunek do samego siebie oraz do innych i jak bardzo trzeba uważać, żeby decyzje, które podejmujemy wobec naszych bliskich, były uwarunkowane ich dobrem, a nie naszym egoizmem lub społecznymi naciskami. Bo człowiek to taka istota, którą najbardziej boli utrata godności.

Wierzę, że lektura tej książki odmieni na lepsze życie wielu Czytelników i pozwoli choć na chwilę zatrzymać się nad sprawami, które skrupulatnie odsuwamy „na potem”.

Składam głębokie ukłony za poświęcony mi czas Pani Ewie, Panu Bogusławowi, Panu Maciejowi, Pani Jadwidze, Pani Reginie, Panu Jerzemu, Pani Teresie, Panu Tadeuszowi, Pani Basi i Panu Krzysztofowi. Dziękuję za wspólny śmiech i wzruszenia, za to, że obdarzyliście mnie zaufaniem i podzieliliście się ze mną, z nami częścią Waszego życia.

Serdecznie dziękuję głównej sprawczyni całego przedsięwzięcia Pani Magdalenie Szymczak-Michalskiej, która włożyła w projekt wiele serca i uwierzyła we mnie, dając szansę na odkrycie nowych, pięknych światów, których opis oddajemy Czytelnikom do rąk.

Bo liczy się tylko to, co najważniejsze...

Tomasz Sobierajski

*I marzę o tym, żeby
usiąść na tarasie
naszego domu z bali,
z kubkiem aromatycznej
kawy i kawałkiem
ciasta z truskawkami
albo jagodami,
psami u stóp,
i patrzeć, i słuchać...*



Ewa

Emigracja

Przyjeżdżam do ośrodka chwilę wcześniej. Zatrzymuję się przed budynkiem i wyrównuję oddech. Nie wiem, co mnie czeka. Nigdy nie rozmawiałem z osobami, które są na stałe podłączone do respiratora. Wchodzę do salki, w której będę rozmawiał z Panią Ewą. Po chwili pielęgniarka wprowadza uśmiechniętą, młodą kobietę. Witam się i żartuję z wysokości stolika, przy którym będziemy siedzieć. Pani Ewa z uprzejmą pobłażliwością wyjaśnia mi, że meble w ośrodku dostosowane są do ludzi na wózkach z respiratorem. Właśnie... wózek. Dopiero teraz, przywołując na myśl obrazy tego spotkania, zdaję sobie sprawę, że Pani Ewa siedziała na wózku. Nie można przecież inaczej – respirator musi być cały czas podłączony. Pani Ewa mówi ledwie słyszalnym szeptem, ja również mimowolnie ściszam głos. Patrzę na Jej twarz, z której wyczytuję stanowczość i pewien nieuchwytny rodzaj siły. Ale nie ma w tym nic pochmurnego, wręcz przeciwnie – przez całą naszą rozmowę w niezwykle żywych oczach Pani Ewy pali się wesoła dziewczęcość.

Lubi Pani czytać książki?

Tak, bardzo.

To tak jak ja. A co Pani daje czytanie?

Książki poszerzają moje horyzonty, pozwalają odkryć miejsca, które są dla mnie niedostępne, zabierają mnie w mentalne podróże po świecie, pozwalają ten świat choć trochę zrozumieć.

Dużo Pani czyta?

Średnio dziewięć, dziesięć miesięcznie...

Przed pobytem tutaj też Pani tyle czytała?

Nie, dużo mniej. Nie miałam czasu. Bardzo dużo pracowałam.

To pewnie i Pani sposób czytania się zmienił?

Teraz czytam bardziej uważnie, mam czas na to, żeby na chwilę odłożyć książkę, pomyśleć i po jakimś czasie do niej wrócić. Kiedyś liczyła się dla mnie ilość, teraz jakość.

Co Pani lubi czytać najbardziej?

Literaturę faktu. Jagielski, Kopińska, Grzebałkowska.

To trudne książki!

Życie też jest takie.

No właśnie! To z tego względu, że życie jest trudne, może warto czytać książki optymistyczne?

Wolę czytać książki, które oddają prawdę, rzeczywistość...

A jaka jest Pani rzeczywistość?

To trudne pytanie...*(dłuższa chwila zawahania)* Zaczęłam chorować w 2000 roku. Przez cały czas odsuwałam od siebie chorobę, choć spodziewałam się, że nie będzie dobrze, bo znałam jej przebieg – na to samo chorowała moja mama. W 2009 roku usiadłam na wózku inwalidzkim. Pomimo tego byłam cały czas czynna zawodowo. Ale w końcu organizm nie wytrzymał i wyłączałam na OIOM-ie. Miałam tak wysoki poziom dwutlenku węgla w organizmie, że mogłam tylko spać. Byłam wyniszczona. Ubyło mi trzydzieści kilogramów. Któregoś dnia do szpitala przyjechała moja przyjaciółka. Mówi do mnie: „Wiesz, miałam ci nie mówić, ale spotkałam kogoś, komu powiedziałam, że wybieram się do ciebie. A ten ktoś pyta: To ona żyje?!”. Wiele osób miało zakodowane, że jeśli trafiłam do szpitala w ciężkim stanie i na długo zniknęłam z horyzontu, to znaczy, że umarłam.

A tymczasem Pani powiedziała: „Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone”!

Co więcej, prowadzę teraz takie życie towarzyskie, jakiego nie prowadziłam wcześniej. Jestem tu w ośrodku już cztery lata. Moje życie przeszło, jeśli nie rewolucję, to na pewno ewolucję. I chociaż choruję od dawna, to nigdy nie sądziłam, że choroba będzie przebiegała właśnie w ten sposób. To było zaskoczenie. Mówię o respiratorze, do którego jestem stale podłączona. Kiedyś myślałam sobie, że jak będę musiała żyć z respiratorem, to nie chcę takiego życia. Wydawało mi się, że to nie jest w ogóle życie. Aż któregoś dnia przyszedł lekarz i powiedział, że podłączenie do respiratora, to moja alternatywa. I dał mi dzień na zastanowienie.

Tylko dzień?

Tak. Ale powiedziałam mu, że nie potrzebuję czasu do namysłu i że się zgadzam, bo chcę żyć. Byłam pięć miesięcy w szpitalu i wierzyłam, że mogę z respiratorem być w domu. Kurczowo trzymałam się tej nadziei, choć wszyscy dokoła mnie mówili, że to nie będzie możliwe,

że jest to zbyt trudne do zorganizowania. Byłam na nich wściekła. Miałam poczucie, że mnie zdradzili, chcąc umieścić w ośrodku. Czułam się porzucona przez bliskich.

W jakim sensie porzucona?

Sądziłam, że gdyby bardziej się postarali, to mogłabym żyć z respiratorem w domu. Dziś wiem, że gdybym wymusiła na nich tę decyzję, sama byłabym nieszczęśliwa i unieszczęśliwiłabym też ich. Bo nigdy nie chciałam, żeby czyjeś życie było zdeterminowane przez moją chorobę. A tak by było, gdybym uparła się na zostanie w domu.

Przemawiał przez Panią egoizm?

Tak, egoizm.

To nie zawsze jest coś złego.

W moim przypadku byłoby to podłe, bo ja potrzebuję całodobowej opieki, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa.

A zatem kilka osób musiałoby zrezygnować ze swojego życia, żeby...

Nie chciałam tego. Wychowałam się w domu, w którym była ciężko chora mama. Choć bardzo ją kocham, kochałam – bo dziś już nie żyje – to wiem teraz, że wiele decyzji, które podejmowałam, było podporządkowanych chorobie mamy. To zdominowało moje życie, moje wybory. Zaoczne studia, zamiast dziennych, bycie w domu zawsze na określonej godzinie, funkcjonowanie w rytmie czyjejś choroby... Podskórnie czułam, że coś jest nie tak, ale to wypierałam. Myślę, że tłumiona przez wiele lat złość na sytuację w domu, niewyartykułowany bunt miał bardzo duży wpływ również na pogorszenie mojego zdrowia. Dlatego nie chciałam fundować nikomu takiego życia. Uważam, że to miejsce, w którym jestem teraz, jest najlepszą odpowiedzią na moje potrzeby.

Kiedy słucham, co mówi Pani o egoizmie, to zdaję sobie sprawę z tego, że nierzadko nie jest on jednostronny, nie wypływa tylko ze strony chorego. Czasem nasi bliscy z egoizmu i trudnych do określenia zobowiązań mówią: „Poświęcę się dla ciebie. Zaopiekuję się tobą”.

Ale ja nie chcę poświęcenia. Chcę uwagi, towarzyszenia mi w chorobie, ale poświęcenia? W imię czego?

Niektórzy powiedzieliby, że w imię miłości, że tak trzeba.

Nie, nie trzeba.

Są tacy, którzy mówią, że tak wypada. Jest na przykład oczekiwanie, żeby dzieci zajęły się rodzicami, odpłaciły im za wychowanie. Uśmiecha się Pani?

Ja mam zupełnie inne zdanie. Nie po to mamy dzieci, nie po to je wychowujemy, żeby nam za to w jakiś sposób płaciły. Po to są takie miejsca jak to. Jest ono w jakiś sposób szczególne. Wiem, o czym mówię, bo przez wiele lat byłam związana ze służbą zdrowia i widzę, jak dobrze zorganizowana jest ta placówka. Z jednej strony mam duże poczucie bezpieczeństwa, bo otaczają mnie ludzie, którzy wiedzą, co robią i po co tu są, a z drugiej – ten ośrodek wychodzi poza schematy i pozwala mi na funkcjonowanie w różnych społecznych rolach. Dzięki pobytowi tutaj i wsparciu, jakie dostaję, mogę pracować zawodowo. Ktoś być może popukałby się w czoło i powiedział: „Kobieto! Twoją rolą jest leżeć i chorować”. Ale ja nie zgadzam się na taki stan. Chcę pracować, a ośrodek wychodzi temu naprzeciw...

Rozumiem Panią, bo wiem jak bardzo we współczesnym świecie praca, którą wykonujemy, nas definiuje. Chce Pani pracować, bo chce być Pani częścią społeczeństwa. Tymczasem w wielu placówkach służby zdrowia, szczególnie w szpitalach, narzucana nam jest tylko jedna rola społeczna – chorego. Funkcjonujemy w ramach struktury instytucji totalnej, w której jest wyraźny podział na podwładnych i przełożonych. Nie liczy się człowiek, tylko przypadek chorobowy. Wszyscy są zrównani, cała nasza społeczna przeszłość jest pozostawiona przed drzwiami szpitala. I dlatego bardzo podoba mi się to, że Pani, pomimo choroby, nie chce zrezygnować z tego, żeby być aktywnym uczestnikiem społecznej gry.

Nie godzę się na marginalizację. Praca sprawia, że nie czuję się wyalienowana. Mam poczucie, że ciągle się rozwijam, szukam nowych aktywności, kontaktów, czegoś, co nie pozwoli mi poddać się obecnej u innych pacjentów rezygnacji, tęsknocie za życiem, którego już nie ma. To miejsce jest...

Pani domem?

Nie wiem. Na pewno nie jest już nim mieszkanie, w którym mieszkałam przed przyjęciem do ośrodka. Kiedy we wrześniu zeszłego roku jechałam na konsultację do szpitala, co było obarczone ogromnym stresem i niepewnością, to czekałam na powrót tutaj jak na powrót do domu.

Jak Pani mówi o swojej sytuacji, to nasuwa mi się na myśl to, że w jakimś sensie jest Pani na emigracji.

Podoba mi się, że pan to tak nazwał. Tak, jestem na emigracji. Być może bez biletu powrotnego. Jestem tu i buduję siebie w tym miejscu na nowo.

A jakie były początki tej emigracji? Było trudno?

Bardzo... Bez przerwy płakałam. Nie akceptowałam tej sytuacji i siebie w niej. Towarzyszył mi strach przed tym, co przede mną. Poprosiłam o pomoc, rozpoczęłam terapię i krok po kroku zaczęłam wygrzebywać się z dna rozpacz. Dziś jestem dużo silniejsza i bardziej świadoma siebie. Należę do osób, które chciałyby, aby ostatnią rzeczą, jaka je definiuje, była choroba. Jest to trudne, bo choroba po prostu jest, co więcej, w dużej mierze determinuje moje życie. Z drugiej strony, póki nie zainfekuje mojego umysłu, jest szansa, żeby ludzie zobaczyli we mnie najpierw interesującego człowieka, dobrego pracownika, wesołego kompana... To dlatego staram się dbać nawet o najdrobniejsze rzeczy. Nawet będąc w wersji piżamowo-dresowej, lubię mieć starannie pomalowane paznokcie, nie zapomnieć o perfumach, pić kawę w eleganckiej filiżance...

Gdyby przyszła do Pani osoba w Pani wieku, z tą chorobą, nie pogodzona ze swoim losem, i zadała Pani pytanie: „Dlaczego ja?”, to co by Pani jej odpowiedziała?

W ogóle bym nie podjęła tego tematu. Nie czuję się kompetentna, pomimo swoich przeżyć.

A sobie zadawała Pani to pytanie?

Zadawałam.

I udzieliła sobie Pani odpowiedzi?

Tak i teraz już nie pytam: „Dlaczego ja?”, tylko: „Dlaczego w ogóle?”.

I odpowiedź brzmi?

Geny. Ale może jednak...

Tak?

...powiedziałabym tej osobie, o którą pan pytał, że kto nie może oderwać się od przeszłości, jest zamknięty na przyszłość. Tego życia, które było, już nie ma, po prostu... Dlatego żyjemy tu i teraz, bez balastu przeszłości, z umiarkowanymi planami na przyszłość wydeptujemy swoją ścieżkę życia...

Za czym – z tamtego życia – Pani najbardziej tęskni?

Za psami. Czasem przyjeżdżają do mnie do ośrodka. To są jedne z najpiękniejszych momentów. Czyste szaleństwo!

I za czym jeszcze?

Za najbliższymi, rodziną, za nocnymi rozmowami z przyjaciółmi przy lampce wina, za dobrym jedzeniem, za kinem i teatrem, które uwielbiam, za górami, podróżami... Chociaż...

Chociaż?

...tak naprawdę to wszystko mam. Ciągłe ktoś mnie odwiedza, przynosi pyszne jedzenie, przy którym toczymy długie rozmowy. Nowe technologie umożliwiają mi odbiór sztuki, może z małym poślizgiem, niewielkim ograniczeniem, ale mam do niej dostęp. Oglądam, słucham, czytam...

Całkiem niedawno na swoim blogu dodałem wpis dotyczący Facebooka, stwierdzając, że dopóki mogę, to nie potrzebuję protezy, wołę spotkania z ludźmi twarzą w twarz. Ale w Pani przypadku...

Ja jestem w takim momencie życia, że te protezy są mi niezbędne i dzięki nim mogę moje życie w pełni celebrować, i wciąż czerpię z tego radość.

Czytała Pani książkę o Simonie Kossak?

Tak.

A zatem być może pamięta Pani, że Simona Kossak podzieliła ludzi na tych, którzy marzą, oraz na tych, którzy mają plany. Marzenia – jej zdaniem – różnią się od planów tym, że te drugie się realizuje. Była bardzo pragmatyczna. A Pani marzy czy ma plany?

Raczej plany, ale zostawiam sobie pewien margines...

Na marzenia?

Tak, ale taki wąziutki.

Z jakiego powodu wąziutki?

Bo lubię mieć wpływ na różne rzeczy. Być może zabrzmiało to dziwnie, ale ustaliłam ze swoimi najbliższymi szczegóły związane z moją śmiercią i pogrzebem – jak mam być ubrana, jaką mam mieć biżuterię, kolor paznokci, jaka ma być muzyka. Chcę mieć wpływ na to, co się dzieje, do końca życia. Dziwi to pana?

Nie, w ogóle. Ja też już wszystko ustaliłem. Zrobiłem to, żeby najbliżsi mieli jak najmniej kłopotu. Sporządziłem testament, rozdysponowałem wszystko.

Ale ludzie się temu dziwią...

Być może myślą, że nigdy nie umrą? Zdziwionym zawsze odpowiadam, że podobno był jeden człowiek, który nie umarł, ale od tamtej pory, ani przed Nim, ani po Nim, nikomu się to nie udało, a więc szansa, że mnie się uda, jest marna... Ale wróćmy do tego wąskiego marginesu marzeń. O czym Pani marzy?

Chciałabym wziąć udział w meczu siatkówki.

Jest to możliwe w Pani stanie?

Teoretycznie tak. Ale to niejedyne marzenie. W 2011 roku rozpoczęłam budowę wymarzonego domku z bali. Budowę dokończył właśnie mój brat. Działka na skraju lasu, kilkadziesiąt metrów od rzeki Liwiec. Magiczne miejsce. I marzę o tym, żeby usiąść na tarasie, z kubkiem aromatycznej kawy i kawałkiem ciasta z truskawkami albo jagodami, psami u stóp, i patrzeć, i słuchać...

Ale widzę po Pani minie, że jest coś jeszcze, jeszcze jedno marzenie...

Od dłuższego czasu chodzi mi po głowie podjęcie nauki, może nawet zrobienie doktoratu. Śmiałe wyzwanie, ale jak pisał Herbert: „Do źródeł płynie się zawsze pod prąd”.

Pani się nigdy nie poddaje?

(*śmiech*) Nie, to nie leży w mojej naturze.

Pani Ewa ma 47 lat. 16 lat temu zdiagnozowano u niej desminopatię, genetycznie uwarunkowaną, postępującą chorobę mięśni. W 2009 r. zaczęła poruszać się przy pomocy wózka inwalidzkiego. Trzy lata później została podłączona do respiratora z powodu ostrej niewydolności oddechowej. Do Ośrodka MEDI-system trafiła 5 września 2012 r. Ośrodek wentylacji respiratorem KONSTANCJA jest największą tego typu placówką w Polsce. Pod opieką ośrodka przebywa ponad 50 osób (dzieci i dorosłych), wszyscy w ramach usług finansowanych przez NFZ. Zespół realizuje autorski program terapii zajęciowej i rehabilitacji. Dzięki mobilnym respiratorom podopieczni mogą poruszać się po ośrodku, spędzać czas w ogrodzie, uczestniczyć w wycieczkach.

*Nie żatuję tego, co się
stało i jak się stało.
Tak zdecydował los
i trzeba się z tym
pogodzić...*



Bogusław

Zeszyt

Najdłuższy blok w Polsce. Tysiące mieszkań, dziesiątki klatek schodowych. A wszystko zabezpieczone podwójnymi kodami i systemami ochrony. Budynek architektonicznie jest fascynujący, ale ponoć niełatwo się tu żyje. W tym bloku mieszka Pan Bogusław z żoną Anną. Przyjmują mnie w pokoju przylegającym do kuchni. Pani Anna jest chora na raka mózgu i prawdopodobnie nie odbiera już zewnętrznych bodźców ze świata. Podczas mojej wizyty śpi z głową zwieszoną na piersi. Tylko raz, kiedy zadaję Panu Bogusławowi pytanie o to, czy myślał o domu opieki dla żony, podnosi nagle głowę i patrzy na mnie. W tym jednym, jedynym momencie jej wyblakłe tęczyówki znów nabierają koloru.

Panie Bogusławie, jak Państwo wyobrażali sobie swoje życie na emeryturze?

Planowaliśmy, że jak już pójdziemy na emeryturę, to wreszcie będziemy mieli czas na czytanie. Mamy bardzo dużo książek i lekturę niektórych z nich odkładaliśmy właśnie na ten czas. Żona, która miała zdolności plastyczne, cieszyła się, że będzie mogła malować, ale też robić na drutach czy szydełku ubrania dla wnuków. Planowaliśmy, że będziemy jeździć po świecie. Myśleliśmy o tym, dokąd pojedziemy i co zobaczymy. No ale...

Los zadecydował inaczej?

Pół roku po przejściu na emeryturę wydarzył się dość dziwny epizod. Żona pojechała ze swoją matką do jej siostry do Wrocławia, w odwiedziny. Kiedy wracały już do Warszawy, moja żona zadzwoniła do mnie i powiedziała, że będą na Dworcu Wschodnim o określonej godzinie, i poprosiła mnie, żebym przyjechał po nie samochodem. Przyjeżdżam, a na peronie stoi tylko moja teściowa. Pytam: „Gdzie Ania?”, a ona na to, że wzięła bagaże, poszła do wyjścia i zniknęła. Przeszukałem cały pociąg. Nigdzie jej nie było. Kierownik opóźnił odjazd składu o pół godziny. Poprosiłem go, żeby zadzwonił do mnie, bo może na trasie okaże się, że żona jest w środku. Zadzwonił po godzinie, mówiąc, że ktoś podobny do żony jedzie dalej, do Lublina. Poprosiłem syna, żeby pojechał samochodem do Lublina i ją stamtąd

odebrał. Kiedy syn był już w drodze, odbieram telefon, dzwoni moja żona z pytaniem: „Gdzie jesteś? Dlaczego cię nie ma w domu?”

Jak to?!

Szok! Zawróciłem syna z trasy, wracam do domu, a tam moja żona z wielkimi bagażami czeka pod drzwiami mieszkania.

Dostała się do domu sama?

Tak, ale najgorsze było to, że nie pamiętała jak...

I ta sytuacja Pana zaniepokoiła?

Bardzo. Poprosiłem żonę, żebyśmy poszli do lekarza i zrobili badania. Niestety żona jest psychologiem z wykształcenia. A psychologów namówić do czegokolwiek jest bardzo ciężko.

Dlaczego?

Bo wydaje im się, że są najmądrzejszymi ludźmi na świecie. Ale w końcu się udało.

Co powiedział lekarz?

Kazał zrobić tomografię, ale żona nie posłuchała.

I co wtedy?

Poszliśmy do drugiego lekarza i ten powiedział to samo.

Żona dała się w końcu przekonać?

Tak, zrobiliśmy tomografię i wyniki były bardzo niepokojące. Okazało się, że ma guza mózgu, w bardzo złym miejscu, oplecionego nerwami, które rozchodzą się do kręgosłupa. Zaczęliśmy szukać pomocy u znajomych i umówiliśmy żonę na operację.

Co powiedział lekarz?

Powiedział, że guz mózgu bez operacji może ją zabić w ciągu kilku miesięcy.

Jak długo trwała operacja?

Szesnaście godzin! Wcześniej operowali komuś oponiaka i trwało to tylko trzy godziny, a więc spodziewałem się, że u żony będzie tak samo. Kiedy neurochirurg wyszedł po operacji żony, ślaniał się na nogach.

No właśnie, często zapominamy, jaki to jest trudny zawód. Operacja się udała?

Tak, żona odzyskała pełną świadomość. Bardzo się z tego cieszyliśmy. Myśleliśmy, że już wszystko za nami, ale po trzech miesiącach dostała

ataku padaczki. Zawieźli ją do szpitala i postawili na nogi, ale niedługo potem zaczęły się kolejne problemy. Bardzo dużo spała. Nawet po czternaście godzin dziennie. Zadzwoiłem do lekarza, który ją operował wcześniej. Przysłał karetkę. Okazało się, że potrzebna jest kolejna operacja.

Tym razem było lepiej?

Dużo lepiej. Żona wróciła do zdrowia. Wprawdzie zdarzały się ataki padaczki, ale wiedziałem, jak reagować. No i wreszcie mogliśmy cieszyć się emeryturą. Wyjeżdżaliśmy dużo nad morze, raz w roku na Mazury. Robiliśmy weekendowe wycieczki samochodem. Aż zdarzył się bardzo silny atak padaczki, kiedy nie było mnie przy żonie, i od tego momentu było już tylko gorzej.

Jak Państwo się poznaliście?

Żona była instruktorem harcerskim, a ja byłem drużynowym. Poznaliśmy się na zimowisku instruktorskim. Żona miała taki długi, gruby warkocz...

Od razu zaiskrzyło?

Nie, jeszcze nie. Długo się nie widzieliśmy i dopiero jak zacząłem pracować, to gdzieś tam spotkaliśmy się przypadkowo na mieście i od tamtego momentu byliśmy już razem. Ale opowiem panu pewną ciekawą historię ze studiów żony.

Chętnie posłucham.

Żona była pilną studentką, prowadziła bardzo ładne zeszyty. Była grzeczna i lubiana. Kiedyś koledzy namówili ją, żeby zapaliła z nimi papierosa. Skusiła się. Akurat przechodził jeden z profesorów i mówi: „Panienko, proszę wyrzucić tego papierosa. Jak jeszcze raz spotkam panienkę z papierosem, to wleję panience tyle klapsów na pupę, ile wlezie”. I nigdy więcej nie zapaliła.

Jakie to szczęście, że dziś tak nie można mówić do studentek.

W każdym razie niedługo po studiach zniszczyła wszystkie zeszyty, a zostawiła tylko jeden. Wie pan jaki?

Nie mam pojęcia.

Rehabilitacja pacjentów po operacji guza mózgu.

Niesamowite!

I dzięki zapiskom w tym zeszycie wiedziałem, w jaki sposób zajmować się Anią.

Sam Pan się opiekuje żoną?

Tak, przede wszystkim ja, a wie pan, co pomaga mi najbardziej?

Co?

Komputer, internet. To jest moje połączenie ze światem. Jest dla mnie jakby osobą pomagającą. Dzięki niemu mogę zrobić zakupy, umówić się do lekarza, zrobić opłaty. Wszystko.

Wirtualny asystent?

Komputer to dla mnie teraz podstawowa rzecz, dzięki temu jeszcze nie zwariowałem. No i dzięki dzieciom.

Co ma Pan na myśli?

Moje dzieci – syn i synowa – postanowiły, że muszę mieć przynajmniej raz w tygodniu jeden wolny dzień. Mogę w tym czasie robić to, co chcę, iść, gdzie chcę, ale mam go poświęcić tylko i wyłącznie sobie. Ustaliliśmy, że to będzie środa. Nawet jeśli nie robię nic, tylko spaceruję czy chodzę po galerii handlowej, to czuję, że odpoczywam. Mogę iść do muzeum, do kina. To takie moje wakacje.

Kiedy ostatni raz był Pan na wakacjach?

W zeszłym roku dzieci zdecydowały, że zaopiekują się Anią, i wysłały mnie na wakacje z wnuczką do Belgii, dokąd kiedyś wyjechała moja siostra. A teraz mieszka tam mój siostrzeniec i szwagier, który jest dla mnie jak brat. Na miejscu brałem wnuczkę do pociągu i jeździliśmy do różnych miejsc.

Nie bał się Pan zostawić żony pod opieką kogoś innego?

Nie, w ogóle! Bo moja synowa jest taką zaradną i zadaniową osobą. Uważam, że ona się lepiej opiekuje żoną niż ja. Jest bardzo czuła, wrażliwa, nie brzydzi się chorych ani choroby... Mówi do mnie: „Ja Anię traktuję jak matkę”.

To piękne...

Bardzo jestem jej za to wdzięczny.

Skąd Pan wiedział, jak opiekować się żoną? To trudna praca.

Syn namówił mnie, żebym wziął udział w warsztacie dla opiekunów osób ciężko chorych jak moja żona.

To były całodniowe warsztaty?

W sumie cały dzień. Pielęgniarki opowiadały o tym, jak się opiekować, jak myć, jak dbać. Był też wykład rehabilitantów, którzy

pokazywali, jak podnosić, jak kłaść, jak przewijać. Mogliśmy sami, pod okiem specjalistów, wypróbować swoich sił. Mówili też o domach opieki, że są takie, do których można na przykład na jakiś czas oddać chorego pod opiekę i wyjechać na wakacje. Albo zamówić opiekunkę na kilka godzin i w tym czasie coś załatwić, albo po prostu wyjść z domu. I dali nam kupony, byśmy mogli bezpłatnie na pięć godzin wynająć opiekunkę.

Skorzystał Pan?

Tak. Poprosiłem o pięć godzin ciurkiem. Chodziło mi o to, żeby opiekunka przyszła, a ja będę siedział sobie w kąciку i patrzył, jak ona opiekuje się żoną, żebym wiedział, jak to się robi w praktyce. Potem ja to robiłem i prosiłem, żeby korygowała moje błędy. Dużo się dzięki temu nauczyłem.

Przepraszam za obcesowość pytania, ale czy kiedykolwiek myślał Pan, żeby powierzyć żonę pod opiekę specjalistycznej placówce?

W ogóle nie myślę o takich rzeczach. Dopóki mogę, to chcę, żeby była w domu. Zaadaptowałem mieszkanie, łazienkę... Myślę, że żona na moim miejscu postąpiłaby tak samo.

A czy kiedykolwiek miał Pan żal do losu?

Nie. Kiedy ktoś mi mówi: „Ale ty masz strasznie”, to odpowiadam, że zawsze może być gorzej. Cieszę się na przykład, że mogę karmić żonę normalnie, bo są ludzie, którzy muszą być karmieni dojelitowo. O przepraszam, muszę sprawdzić godzinę...

Pora karmienia?

Jeszcze nie, ale muszę tego pilnować.

Jak długo są Państwo małżeństwem?

Czterdzieści dziewięć lat.

Długi staż. Wspomina Pan czasem lepsze chwile?

Jak każdy z nas. Byliśmy z żoną bardzo dobrym małżeństwem. Wiele jej zawdzięczam. W trudnych momentach zawsze mogłem na nią liczyć. To ona zmotywowała mnie do tego, żebym wrócił na studia, które wcześniej przerwałem. Wymagało to od niej wielu wyrzeczeń, bo wróciłem na studia dzienne i często nie było mnie w domu.

Niczego Pan nie żałuje?

Nie żałuję tego, co się stało i jak się stało. Tak zdecydował los i trzeba się z tym pogodzić. Żał mi, że nie mogliśmy spędzić z żoną czasu na emeryturze tak, jak zaplanowaliśmy. Ale widocznie tak musiało być.

Pan Bogusław ma 72 lata. Mieszka w Warszawie. Od 12 lat opiekuje się żoną. Uczestniczył w pierwszym bezpłatnym warsztacie dla opiekunów nieformalnych, organizowanym przez MEDI-system w Ośrodku MAZOWIA.

*Wiedziałem, że Mama
jest w dobrych rękach.
Wreszcie przestałem
się o nią bać...*



Maciej

Mama

Spotkania z bliskimi chorych osób są często bardzo trudne. Tym bardziej że proszę ich o to, żeby wrócili do spraw, o których być może nie chcą już pamiętać. Na szczęście Pan Maciej chętnie zgadza się na rozmowę. Robi to, bo ma cel: chce dzięki swojej opowieści wesprzeć innych, którzy znajdują się lub znaleźli w podobnej sytuacji i nie wiedzą, jak pomóc sobie i choremu. Rozmawiamy długo, bardzo szczerze. Do końca rozmowy Pan Maciej trzyma fason, choć wiem, że strata, która go dotknęła, czyli niedawna śmierć obojga rodziców w krótkim czasie, musi bardzo boleć.

Panie Macieju, oboje Pana rodzice ciężko chorowali?

Tak, ale na inne choroby. Tato chorował też krócej, trzy, może cztery miesiące. U Mamy to trwało znacznie dłużej.

Kiedy Tato chorował, to Mama jeszcze była sprawna i mogła się nim opiekować?

Tak, ale śmierć Taty spowodowała, że jej stan się znacznie pogorszył.

Były jakieś konkretne objawy?

Chociażby to, że Mama nie przeżyła traumy po śmierci Taty, przeszła nad tym do porządku dziennego. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to nie jest ocena...

Rozumiem. Mówi Pan o tym, co Pana zaskoczyło.

Nie tylko mnie, całą rodzinę. Byli z Tatą bardzo zżyci, a wydawało się, że jego śmierć nie zrobiła na niej większego wrażenia.

I to był pierwszy moment podejrzeń, że u Mamy rozwija się choroba Alzheimera?

Nawet nie to. To był kolejny element do układanki. Mama była znana z tego, że czegoś zapomniała, ale po śmierci Taty jej choroba stała się bardziej widoczna dla otoczenia.

Co ma Pan na myśli?

Okazało się, że Tato Mamę bardzo krył; tuszował jej przypadłość przed światem, przed rodziną.

Kiedy nie miała już tej ochrony, okazało się, że więcej osób widzi, że coś jest nie tak?

I byli bardzo zaniepokojeni. Mama mieszkała na Dolnym Śląsku, ja w Warszawie. Znajomi i rodzina dzwonili do mnie, że na przykład Mama przychodziła do nich w odwiedzinach o trzeciej nad ranem albo oskarżała kogoś o kradzież torebki, kluczy, karty, dokumentów... Kuzynka mojej Mamy, której Tato zmagał się z chorobą Alzheimera, naprowadziła mnie na ten trop. Rodzina była dla mnie zawsze dużym wsparciem.

Co Pan wiedział o tej chorobie?

Nic. Kompletnie nic. Zacząłem czytać, dowiadywać się. W tej chwili tyle wiem na temat chorób otępiennych, że mógłbym z tego zrobić doktorat.

Ktoś Panu pomógł?

Odkryłem Polskie Stowarzyszenie Pomocy Osobom z Chorobą Alzheimera. Szefową była tam pani Alicja Sadowska, bardzo znana...

W środowisku...

Tak, w środowisku. Umówiłem się z nią, opowiedziałem swoją historię, a ona wskazała mi, w jakim kierunku powinienem pójść i jakie kroki podjąć. Poleciała mi także kilka periodyków i pozycji książkowych, między innymi „36 godzin na dobę”.

„36 godzin na dobę”. Rozumiem, że tytuł książki obrazuje to, ile czasu trzeba poświęcić na zajmowanie się osobą z chorobą Alzheimera?

Na swoim przykładzie wiem, że ten tytuł jest w pełni trafiony. Dzięki tej książce wiedziałem, co mam robić. Przeniosłem Mamę do Warszawy, choć wiedziałem, że niezbyt lubiła to miasto, ale nie miałem innego wyjścia. Zapisalem ją do psychiatrii i zaczęło się leczenie.

Ale musiał Pan przecież pracować?

I to był największy problem. Początkowo Mama mogła sama zostawać w domu, ale potem zaczęły się drobne incydenty, na przykład mycie okien w mieszkaniu na niebezpiecznej wysokości. Musiałem zabezpieczyć mieszkanie. Przeszawiałem meble tak, żeby nie było dostępu do gniazdka elektrycznego, chowałem drabinę, zamykałem gaz.

Ale przecież nie da się wszystkiego przewidzieć?

Początkowo myślałem, że się da. Ale teraz wiem, że jest to niemożliwe. Osoby z Alzheimem muszą mieć całodobową opiekę. Nie sprawdza się ani czasowa opiekunka, ani zamykanie w mieszkaniu. Dodatkowo

jak byłem w pracy, poza domem, to cały czas myślałem, czy coś się nie wydarzy, czy Mama nie robi sobie krzywdy.

Można się samemu zadręczyć...

Oj tak. W związku z tym zacząłem szukać świetlicy dziennej, do której Mama mogłaby chodzić. Po wielu perturbacjach udało mi się taką znaleźć, choć liczba miejsc w takich świetlicach na takie miasto jak Warszawa jest znikoma.

Jak Mama zareagowała na tę świetlicę?

Dobrze. Bardzo dobrze. Bo wytłumaczyła sobie, że idzie nie na świetlicę, a do pracy. W przypadku tej choroby najważniejsza jest cykliczność, powtarzalność.

To im daje poczucie bezpieczeństwa?

Tak. Każda zmiana jest bardzo źle odbierana. Ta sama droga, to samo otoczenie. Nawet strona ulicy czy przejście dla pieszych musi być to samo.

Ale stan Mamy był raczej stabilny?

Były incydenty, ale w sumie było... znośnie.

Liczył Pan na to, że tak będzie już do końca?

Miałem taką nadzieję, ale niestety... Teraz wiem, że ten pierwszy etap, tak zwanych incydentów, a nie pełnej choroby, był w Mamy przypadku i tak wyjątkowo długi.

Aż w końcu przyszedł ten moment, że musiał Pan zdecydować o umieszczeniu Mamy w domu opieki.

Pani Sadowska ze Stowarzyszenia mi to uświadomiła. Świetlica na Żytniej była bardzo dobra, ale już niewystarczająca. Jednak to nie ta decyzja była najtrudniejsza, bo wiedziałem, że w domu opieki Mamie będzie lepiej. Najtrudniejsze emocjonalnie były kwestie prawne.

Związane z ubezwłasnowolnieniem?

Ale trzeba przez to przejść. Z syna, podopiecznego, nagle stałem się opiekunem prawnym Mamy.

Odwrócenie ról.

Tak, to bardzo dziwne uczucie.

Znalezienie właściwego ośrodka było łatwe?

Niestety nie. Tym bardziej że zależało mi na tym, żeby był blisko Warszawy, żebym mógł do Mamy często jeździć. Przypadkiem

trafiłem na artykuł, w którym pisano, że otwiera się nowy ośrodek Ostrowia. Moja Mama była jedną z pierwszych pensjonariuszek.

Spotkał się Pan z głosami krytyki, że „oddal” Pan Mamę do domu opieki?

Oczywiście. Powiem panu więcej, ja sam byłem przekonany wcześniej, że Mamy nigdy, ale to przenigdy nie umieszczę w takim miejscu.

Kiedy nastąpił przełom?

W kolejnym, najcięższym etapie choroby. I pomimo tego, że całe moje życie było podporządkowane chorobie Mamy, to i tak nie dawałem rady.

Był Pan z tym sam?

Nie mam rodzeństwa, które mogłoby mi pomóc. Nie mogłem sobie powiedzieć: „Dzisiaj idę do kina”. Musiałem być cały czas czujny, nawet w nocy.

36 godzin na dobę?

Tak.

Musiał Pan przejść jakiś proces? Coś musiało się zmienić w Pana głowie, że dojrzał Pan do decyzji umieszczenia Mamy w ośrodku?

Myszę, że każdy musi to sam przemyśleć. Jednym idzie to łatwiej, innym trudniej.

Przyznam Panu, że mam duży problem ze słowem „oddanie”, kiedy mówimy o domach opieki.

Bardzo dobrze, że zwraca pan uwagę na to słowo. Zdarzają się przypadki, kiedy rodzina podrzuca chorego i już nigdy go nie odwiedza. Ale ja to potraktowałem inaczej.

Jak?

Jak pobyt Mamy w sanatorium, do którego mogę przyjeżdżać i odwiedzać ją. Kiedy mogłem, to byłem tam z Mamą jak najdłużej. Spędzałem z nią cały dzień. Patrzyłem na to, jak się nią zajmują, jadłem z nią razem posiłki. Rozmawiałem z opiekunami, lekarzami. Znałem ich, oni znali mnie. Dzięki temu było mi łatwiej i mam wrażenie, że im też.

Wiedział Pan, że Mama jest w dobrych rękach?

Najlepszych! Wreszcie przestałem się o nią bać. Mogłem się cieszyć z chwil, że jestem z nią. Pewnie gdyby ośrodek był bliżej, to bywałbym tam codziennie.

Aż pojawił się moment, kiedy Pana Mama przestała kontaktować się ze światem...

Tak, zadzwoniono do mnie z informacją, że zaczyna się ten ostatni, najgorszy etap choroby.

Jak się to objawiało?

Nie tylko mentalnie, ale też fizycznie. Bardzo zmieniła się na twarzy, z rozmiaru L skurczyła się do rozmiaru S.

Zapadła się w siebie?

Trafne określenie. Aż w końcu Mama trafiła do szpitala. A wie pan, dla szpitala tak ciężko chory człowiek to ogromne obciążenie. Jak to mówią: nie opłaca się. Jednocześnie stan był tak zły, że nie mogła wrócić do ośrodka. Na szczęście ośrodek mi pomógł i mogła zostać w szpitalu. Aż któregoś dnia, kiedy jechałem do pracy, dostałem telefon, że... że Mama niestety umarła.

Wiem, że jest Panu ciężko, ale zgodził się Pan na tę rozmowę, żeby pomóc innym?

Chcę powiedzieć, że nie warto zostawać sam na sam z problemem. Trzeba prosić o pomoc innych ludzi.

Niektórzy nie potrafią prosić o pomoc?

Ta choroba do tego zmusza. Trzeba się tego nauczyć. I nagle okazuje się, że jest dużo dobrych ludzi dokoła. Może ktoś, kto przeczyta naszą rozmowę, będzie wiedział, że warto poszukać stowarzyszenia, świetlicy, domu opieki. Nawet jeśli założymy, że damy sobie radę z tą chorobą sami, to ona nas w końcu złamie.

Tym bardziej że – według szacunków – do 2050 roku w Polsce ma być 600 tysięcy osób z chorobą Alzheimera.

Moim zdaniem ta liczba jest niedoszacowana.

Niedoszacowana?

Wiele osób nie jest zdiagnozowanych.

Czy choroba Mamy czegoś Pana nauczyła?

Ciężko mi powiedzieć... Chyba tego, że mam ochotę podzielić się moimi doświadczeniami z innymi, którzy teraz są w takiej sytuacji, jak ja byłem wcześniej.

Wyczuwam w Panu jakiś żal...

To znaczy... Ja nie mam żalu... Nie mam żalu do innych. Mam żal trochę do siebie...

O co?

O to, że nie zająłem się Mamą w dobrym momencie, że nie zauważyłem wcześniejszych objawów choroby.

Nie mógł Pan, bo sam Pan powiedział, że Tato skutecznie wszystko tuszował.

Tak, ale może czegoś nie dopilnowałem?

Nie uważa Pan, że czasem przeceniamy swoje możliwości?

Ma pan rację.

A pomijając żal?

Wiem, że gdyby przydarzyło mi się to kolejny raz, to zrobiłbym wszystko tak samo. Może odrobinę lepiej.

Pan Maciej ma 53 lata. Mieszka i pracuje w Warszawie. Opiekował się chorą Mamą przez 2 lata. Ośrodek MEDI-system OSTROWIA ceni za profesjonalizm. Zdecydował się powierzyć Mamę pod opiekę tego ośrodka, gdy zrozumiał, że to jest najlepsze rozwiązanie.

*Życie przyniosło mi
czas z respiratorem
i pomimo tego
ograniczenia staram
się ten okres jak
najlepiej wykorzystać...*



Jadwiga

Radość

Pierwsze, co rzuca mi się w oczy, kiedy spotykam się z Panią Jadwigą, to piękny, kojący uśmiech. Jest w tym uśmiechu radość życia, ale też zgoda na przemijanie. I ciepło, które emanuje z całej drobnej postaci mojej rozmówczyni. Kiedy opowiada o swoim życiu, szlachetnymi i ładnie skrojonymi przez naturę dłońmi rysuje obrazy w powietrzu. Po kilku minutach rozmowy wiem, że mam przed sobą po prostu – albo aż – dobrego człowieka, wypełnionego bezinteresowną miłością do świata i brakiem żalu wobec tego, co przynosi los.

Jak długo jest Pani w ośrodku, Pani Jadwigo?

Dwa i pół roku.

A choroba kiedy się pojawiła?

Trudno mi wyznaczyć dokładny moment, bo moja choroba jest wynikiem nierozpoznanego zapalenia płuc. Blisko miesiąc źle się czułam, miałam duszności, nie mogłam spać w nocy. Zwraçałam się do wielu lekarzy, którzy nie potrafili niczego zdiagnozować. Nakierowywałam ich nawet na diagnozę, ponieważ osiem lat wcześniej miałam już podejrzenie zapalenia płuc, przez co wylądowałam w szpitalu. Niestety nie trafiłam na takiego lekarza, który zdiagnozowałby mnie dobrze, aż któregoś dnia straciłam przytomność w domu i przewieziono mnie na OIOM. Trzy dni byłam w śpiączce i potem...

...potem?

Nie miałam już takich zdolności, żeby samodzielnie oddychać, i podłączono mi respirator.

I po szpitalu trafiła Pani do tego ośrodka?

Tak.

Informacje o ośrodku dostała Pani ze szpitala?

Nie. Moje dzieci, którym zależało na tym, żebym miała jak najlepszą opiekę, znalazły to miejsce. Oni są młodzi, pracują, a ja potrzebuję stałej, intensywnej i bardzo profesjonalnej opieki, a tylko takie miejsca mogą to zapewnić.

Pięknie się Pani uśmiecha, kiedy mówi Pani o dzieciach...

Tak, bo bardzo je kocham.

Ile ma Pani dzieci?

Dwójkę: syna i córkę. No i jeszcze czworo wnuków.

O, wspaniale! Dwoje dzieci u syna i dwoje u córki, tak?

Tak, po parce. (*śmiech*)

Czy dzieci mieszkają tu, w okolicy Konstancina?

Córka mieszka blisko, a syn dużo dalej, tam, skąd pochodzę, na Pomorzu.

Jak często się Pani z nimi widuje?

Córka mieszka za Piasecznem i co tydzień odwiedza mnie w niedzielę. Czasem przyjeżdża z wnukami. A syn to tak, co dwa, trzy miesiące, bo to jest czterysta kilometrów.

Szmat drogi... Kiedy wnuki przyjechały do Pani pierwszy raz tutaj, do ośrodka, to pytały o respirator?

Nie pytały. Myślę, że rodzice ich na to przygotowali, że babcia ma respirator, i wytłumaczyli wszystko, tak jak da się to wytłumaczyć dzieciom. Dzięki temu w ogóle nie zwracały na to uwagi.

A za czym Pani tęskni najbardziej?

Za codziennymi kontaktami z wnukami. Bo ja bardzo lubię dzieci. Wiele się można od nich nauczyć i potrafią dać bardzo dużo miłości. I żal, że to mi gdzieś umyka.

Za czymś jeszcze? Za pracą? Za domem?

Już od dawna nie pracuję zawodowo. Pracowałam trzydzieści pięć lat, byłam księgową. A potem na emeryturze zajmowałam się ogrodem, bo bardzo to lubię.

Duży był ten ogród?

Mieliśmy domek z działką około tysiąca metrów.

No to było co robić!

Tak, i to pochłaniało większość mojego czasu.

Co było w tym ogrodzie?

I kwiaty, i warzywa, drzewa owocowe. Wszystkiego po trochu. Od wiosny do jesieni miałam zajęcie.

Jak Pani patrzy za okno, na mijające pory roku, to myśli Pani o tym, co właśnie teraz dojrzewa w ogrodzie?

Tak. Albo co kwitnie.

Na co byłby czas w tym momencie?

Teraz jest czas na zbieranie plonów i robienie różnych przetworów: śliwek, jabłek, gruszek, ogórków...

To musiały być pyszne rzeczy!

(*śmiech*) Tak, wszystkim smakowały, a ja lubiłam to, że mogę rozpieszczać bliskich. Trochę mi tego tutaj brakuje, ale... stan, w którym jestem, ogranicza mnie do robienia pewnych rzeczy, ale przecież mogą też robić coś innego.

Nie lubi Pani siedzieć beczynnio?

Nie! Nawet żyjąc z respiratorem, mam dużo rzeczy do zrobienia. Na przykład od jakiegoś czasu zaczęłam wyszywać obrazki wzorem krzyżykowym...

Tak, znam ten sposób, moja przyszywana babcia to robiła. To bardzo misterna praca!

Ale daję dużo przyjemności. Poza tym lubię czytać książki, gazety, rozwiązywać krzyżówki.

Widzę, że czyta Pani książkę o słynnym kocie Oskarze, który mieszkał w jednym z ośrodków hospicyjnych w Anglii i wyczuwał to, że pacjenci umierają.

Zna pan tę opowieść?

Tak, znam i bardzo lubię tę historię. Co dla Pani było najbardziej zaskakujące w tej książce?

Chyba to, że ludzi, którzy są w tym ośrodku, nie da się już leczyć, że są skazani na bierną egzystencję, na dożywanie. To musi być trudne dla rodziny, kiedy patrzy się na człowieka, który nie jest tym, kim był kiedyś. Ludzie, którzy kiedyś byli mądrzy, wykształceni i potrafili dzieciom doradzić, porozmawiać z nimi, teraz ich nie poznają. I to jest w tym wszystkim najtrudniejsze.

Jak córka do Pani przyjeżdża, to o czym rozmawiacie?

O bieżących sprawach, o tym, co się dzieje w domu, jak się miewają dzieci. Co robią, jak się rozwijają. Bardzo lubię te rozmowy.

Czuję, że bardzo kocha Pani swoje dzieci i ma z nimi bardzo dobry kontakt. Czy w związku z tym, nie oczekiwała Pani tego, że dzieci zajmą się Panią, żeby mogła być Pani w domu, a nie w ośrodku?

Nie, nigdy. Rozumiem, że moje dzieci muszą pracować, że mają dużo obowiązków związanych ze swoimi rodzinami, dziećmi. Nie mogę od nich żądać, żeby rzuciły pracę i zajmowały się mną przez dwadzieścia cztery godziny. Ośrodek był najlepszą z możliwych opcji w moim stanie. Nie jestem obciążeniem dla dzieci, a jednocześnie czuję się bezpiecznie.

Niekiedy obserwuję młodych rodziców, którzy mając dziecko – bardzo często tylko jedno – podporządkowują mu całe swoje życie. Zamiast wychowywania dziecka, bardziej przypomina to realizację projektu „Dziecko”...

Zgadzam się z panem. Wiele osób zapomina, że dzieci wychowują się najlepiej przez towarzyszenie dorosłym, obserwację, a nie skupianie się nad nimi przez cały czas i dostarczanie im wszystkiego, czego potrzebują.

Jak Pani wychowywała dzieci?

Wychowania dzieci nikt nas nie uczył...

I nie ma próby generalnej...

Myślę, że wielu rodziców stara się to zrobić jak najlepiej, ale dla mnie liczyło się to, żeby tak wychowywać dzieci, aby wiedziały, że są pewne ograniczenia.

Żeby znały zasady?

Tak. Pamiętam, że kiedyś mój dorastający syn wymarzył sobie, żeby mieć punkowe buty, które kosztowały bardzo dużo pieniędzy. Powiedziałam mu, że nie mogę ich kupić, bo nie stać mnie na nie. Ale jeżeli tak bardzo chce je mieć, to powinien na nie sam zapracować.

I jaka była reakcja syna?

Zareagował tak jak klasyczny nastolatek. Na złość mnie chodził w dziurawych butach, myśląc, że tym mnie złamie. Ale nie poddałam się. W końcu zgodził się na takie buty, na jakie było mnie stać. Czasem po prostu trzeba przełamywać opór dzieci, bo one wielu rzeczy nie rozumieją, nie znają wartości pieniądza. Wydaje im się, że rodziców na wszystko stać.

Jednak są rodzice, którzy – szczególnie na starość – oczekują od swoich dzieci wdzięczności za wychowanie.

Tak, ale ja tego nie rozumiem. Miałam kolegę, który z żoną wychowywał syna, jedynaka. Było ich stać na wszystko, dawali dziecku to, o czym zamarzyło. Niemniej za każdym razem ten mój kolega wypominał swojemu synowi: „Dostałeś to, a nie jesteś mi wdzięczny”. W końcu postanowiłam z nim porozmawiać i powiedziałam: „Albo mu niczego nie dawaj, a jak już mu dasz, to mu tego nie wypominaj”. Ja taką zasadę stosowałam do moich dzieci.

Jeśli daje się dziecku miłość...

...to nie trzeba oczekiwać niczego w zamian.

Ponieważ dziecko nie jest rodzajem inwestycji, z której dostaniemy zwrot dywidendy?

Dobrze pan to nazwał. Za wychowanie dziecka nie można oczekiwać zapłaty. Nie tak to działa. Tak wychowałam swoje dzieci, że nawet będąc tutaj, czuję to, jak bardzo się o mnie troszczą. Dzwonią do mnie, przyjeżdżają. I rozumiem to, że muszę tu być. Nie mam do nich żalu. Do głowy by mi to nie przyszło.

Myślę, że jest Pani tym typem osoby, która czułaby się gorzej, gdyby wiedziała, że jest obciążeniem dla dzieci...

I że muszą się poświęcać dla mnie. Nie chciałabym tego.

Bo chyba lepiej, żeby Panią kochali, niż się dla Pani poświęcali, prawda?

(śmiech) Też tak myślę.

Czy ten ośrodek to Pani tymczasowy dom?

Ten ośrodek to w tej chwili moje życie.

I jak ono wygląda?

Jest bardzo uregulowane – to specyfika mojej choroby. Mam zabiegi rehabilitacyjne, wykonuję robótki na zajęciach. Popołudnia spędzam głównie w łóżku. Ja mam to szczęście, że jestem dość sprawna fizycznie, więc jakoś sobie radzę. Poza tym staram się pracować sama ze sobą. Ćwiczę, nawet kiedy leżę w łóżku.

Nigdy nie miała Pani chwili zwątpienia?

Nie. Cały czas staram się, żeby się nie dać.

Pani Jadwigo, a jakie ma Pani marzenia?

Trudno mi powiedzieć... raczej nie mam. Moje dzieci mają rodziny, w miarę sobie radzą, pracują wszyscy. Mogę jedynie pragnąć, żeby były zdrowe, żeby było wszystko u nich w porządku. To jest najważniejsze. To jest moje marzenie.

A jeśli chodzi o Panią? Co dla siebie by Pani zostawiła?

Chciałabym być dość sprawna, tak jak jestem, oby nie było gorzej. Moim marzeniem jest to, żeby się pozbyć tego respiratora i wyjść...

Wrócić do swojego ogrodu.

Tak, do domu.

Żeby można było znów robić przetwory?

Raczej żeby poczuć te wszystkie pory roku. Uwierbiać przyrodę. Mój dom stoi w pięknym miejscu pod lasem. Całe dzieciństwo mieszkalam przy dużym, sosnowym lesie.

Wygląda Pani na osobę, która dobrze zaaklimatyzowała się w ośrodku.

Tak. Mam charakter, który pozwala mi na dostosowanie się do różnych warunków. W każdej sytuacji potrafię znaleźć pozytyw. Umieję zaakceptować pewne rzeczy, na które po prostu nie mam wpływu. Staram się widzieć te dobre strony, a nie złe. I to mi bardzo pomaga. Polecam to wszystkim.

Wiem coś o tym, bo mam tak samo. Co nie oznacza, że człowiek bezwolnie poddaje się temu, co dookoła.

Dla mnie szklanka jest zawsze do połowy pełna. Jeśli mam siłę i możliwość, żeby coś zrobić, to robię to. Jeśli na coś nie mam wpływu, to po co mam się zamartwiać i denerwować. Życie przyniosło mi czas z respiratorem i pomimo tego ograniczenia staram się ten okres jak najlepiej wykorzystać.

A gdyby miała Pani przekonać kogoś do pobytu w ośrodku, osobę, która się boi, nie wie, czy to będzie dobra decyzja, to co by Pani powiedziała?

Jeśli nie byłoby innego wyboru, to trzeba się zdecydować. I potem jakoś to zaakceptować. Następnie dzień po dniu pracować nad tym, żeby polubić to „nowe” życie.

Co jeszcze?

Starać się znaleźć sobie jakieś zajęcie, pasję, żeby się nie nudzić, nie patrzeć cały dzień w sufit. Życ – i to pięknie, godnie żyć – można wszędzie.

Warto zawsze patrzeć na jasną stronę życia?

Warto. Życie jest wspaniałe!

Pani Jadwiga ma 65 lat. Do Ośrodka MEDI-system KONSTANCJA trafiła w 2014 r. prosto z OIOM-u. Jest osobą pogodną i życzliwą. Bierze aktywny udział w terapii zajęciowej, szczególnie arteterapii. Jej plecione koszyczki wzbudzają powszechny zachwyt. Bardzo chętnie bierze udział w wydarzeniach kulturalno-muzycznych, np. organizowanym w ośrodku karaoke.

*To jest teraz mój dom.
Ustawiłam biurko
naprzeciwko okna,
bo lubię patrzeć na tąki.
Uspokaja mnie to
i przypominają mi się
dawne lata....*



Regina

Siłaczka

Wszyscy w ośrodku wiedzą, że Pani Regina lubi punktualność. Podobnie jak ja. Szanuję to i pojawiaam się u Niej w pokoju minutę przed czasem. Patrzy na mnie badawczo. Zastanawiam się, skąd znam ten wzrok. Tak! Już wiem! Z liceum. Tak patrzyła na mnie moja nauczycielka od matematyki, zastanawiając się, czy ja to ja, kiedy potrafiłem – wbrew jej zamierzeniom i ku jej zaskoczeniu – rozpisywać skomplikowane przebiegi funkcji w klasie maturalnej. Czuję się jak uczeń. Siadam na skraju krzesła. Pani Regina nie spuszcza ze mnie wzroku. Czasem, kiedy chce sobie przypomnieć coś z przeszłości, patrzy przez okno przed siebie. Mówi szybko, przeskakuje z tematu na temat, wypowiadając charakterystyczne kresowe „l” zamiast „I”. Co jakiś czas „wrywa” mnie do odpowiedzi, zadając pytania i nie czekając na odpowiedź, mówi dalej. Słucham z uwagą, a Pani Regina zabiera mnie w podróż do świata, którego już nie ma.

Pani Regino, słyszałem, że miała Pani bardzo bogate życie...

Proszę pana, jestem urodzona na Kresach Wschodnich, na Wileńszczyźnie. Miejscowość nazywała się Komaje, powiat Świąciany, województwo wileńskie. Tam mieszkał i pracował mój ojciec. Nas było w domu dwoje, ja i brat – dwa lata ode mnie młodszy. Ojciec był wojskowym. Tylko nie pamiętam, jaki miał stopień. Był rotmistrzem albo wachmistrzem. Który to wyższy stopień?

Rotmistrz.

Proszę?

Wydaje mi się, że rotmistrz.

No to był rotmistrzem. Miał dużo odznaczeń, choć nigdy nie wiedziałam jakich. W ogóle mało wiedziałam o tym, co robił, bo przy dzieciach niewiele się mówiło. Robiono to, ponieważ uważano, że dzieci nie potrafią utrzymać języka za zębami. Jak się później, w czasach wojennych, okazało, chronili nas w ten sposób. Im mniej wiedzieliśmy, tym mniej mogliśmy powiedzieć NKWD. Czasem brak informacji pomagał przeżyć. Zatem wiedzieliśmy tylko to i o tym, o czym musieliśmy. Mój ojciec wiedział, co robi, bo był doświadczony

przez życie. Jak był mały, to uciekł z Polesia na Wileńszczyznę, bo zaczynała się tam rewolucja bolszewicka. Pan wie, że Wilno to jest blisko Ostrej Bramy?

Tak, wiem. A ma Pani rodzinę?

Została już tylko rodzina mego brata. Najwięcej opiekuje się mną najstarsza córka brata. Jest bardzo rozsądna. Przyjeżdża do mnie najczęściej. Cała rodzina mojego brata ma rozpisany grafik odwiedzin u mnie. Podzielili się opieką nade mną. Dbają o to, żebym nie czuła się samotna.

Mogę obejrzeć te zdjęcia?

Proszę.

Ta nadąsana dziewczynka to Pani?

Tak. Bardzo nie chciałam tego zdjęcia i byłam obrażona. Po prawej stoi mój ojciec, obok niego matka.

Kto stoi za Panią?

To moja matka chrzestna. I jeszcze obok mnie siedzi mój młodszy brat. Fotograf musiał się bardzo namęczyć, żeby zrobić nam to zdjęcie. Kiedyś nie robiło się zdjęć tak jak teraz. Wizyta u fotografa to było duże wydarzenie.

Właśnie widzę. Wszyscy Państwo jesteście elegancko ubrani.

Ojciec jest w mundurze, z szabłą. Mama w najlepszym płaszczu.

Wyglądacie na stremowanych? Czuliście, że niedługo coś złego się wydarzy w Polsce?

My byliśmy dziećmi, więc nic nie czuliśmy. Ale rodzice, dorośli, się denerwowali i to pewnie przechodziło na nas samych, tak bezwarunkowo.

Często Pani wraca do tego zdjęcia?

Tak. Mam je prawie cały czas przy sobie. Patrzę na nie, bo to teraz moja jedyna pamiątka z nimi wszystkimi. Mój ojciec nie wrócił z wojny. Ostatni raz widziałam go w trzydziestym dziewiątym roku, jak zaczął się rok szkolny.

Ze zdjęć wynika, że była Pani bardzo zżyta z bratem.

Bardzo. Byłam starsza, więc czułam, że powinnam się nim opiekować.

Ma Pani jakieś wspomnienia z nim związane?

Mam mnóstwo wspomnień, ale i tak najlepsze lata zabrała nam wojna. Nie lubię wspominać tamtego okresu. Wiem, że są ludzie, którzy myślą, że to było wspaniałe, wzniosłe, ale wojna to był straszny czas. Nie mieliśmy kontaktu z bliskimi, przyjaciółmi. Nie wiedzieliśmy, kto żyje, a kto zginął. Mogliśmy liczyć tylko na samych siebie, bo nie można było nikomu zaufać. Choć z drugiej strony, ludzie – tak jak zachowywali się bestialsko, tak też potrafili być wobec siebie niezwykle dobrzy i uczciwi. Trudno było się odnaleźć w tym chaosie.

Jest Pani przeciwna gloryfikowaniu wojny?

Tak. To nigdy nie jest nic dobrego. Rozpętują to politycy, władcy, dyktatorzy, a cierpią niewinni ludzie. Mój świat po wojnie był zupełnie inny. Znalazłam się nagle w obcym kraju, chociaż to ciągle był mój kraj...

Mała ojczyzna?

Dookoła byli inni ludzie, mnóstwo Rosjan. A przecież ja pamiętałam, że to miejsce było polskie. Ciężko było się do tego przyzwyczaić.

Kim jest Pani z zawodu?

Ja z zawodu jestem nauczycielką, pracowałam sześćdziesiąt lat w szkolnictwie.

Dużo.

Proszę. Tutaj są dokumenty...

Została Pani dwukrotnie odznaczona Krzyżem Zasługi. Gratuluje!

Tak, za moją pracę w szkole. Choć początkowo nie miałam właściwych kwalifikacji.

Gdzie Pani zamieszkała po wojnie?

Jak już mówiłam, po wojnie był ogromny chaos. Wszyscy się nawzajem szukali. Zostaliśmy rozrzućeni w różne rejony kraju. Niektórych specjalnie odłączano od rodzin. Zaczął się stalinowski okres, który był bardzo trudny. Mnie chciano deportować, bo nowej władzy nie podobało się moje nazwisko. Nie dość, że polskie, to jeszcze ziemiańskie. Mój brat związał się z podziemną organizacją, w której byli dobrze wykształceni chłopcy z dobrych rodzin. Wielcy idealisci. Postanowiono rozbić tę organizację, wysyłając jej członków w różne miejsca w Polsce. To uratowało im życie.

A mama?

Mama po wojnie była kłębkim nerwów. Bardzo dużo płakała. Oplakiwała ojca i martwiła się, co będzie z moim bratem. Od razu po wojnie wróciłam w rodzinne strony, na Litwę, do Święcian. Dla mnie to nadal była Polska. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że za chwilę to miejsce będzie należało do innego kraju. Spotkałam tam profesora Markiewicza, którego byłam uczennicą, on zapoznał mnie z lekarzem, który uciekł z Rosji. Dzięki niemu zaczęłam pracować w ośrodku zdrowia. Miałam skończone tylko gimnazjum. Pan wie, że po gimnazjum to niewiele człowiek umie. Ja też niewiele wiedziałam. Ale dostałam szansę. Albo się nade mną zlitowali. Nieważne. Na jedno wychodzi.

Niestety nie mogliście Państwo zostać na Wileńszczyźnie...

Zostaliśmy repatriantami. Mam jeszcze książeczkę repatriacyjną do Polski... Gdzie ja ją mam... Nie mogę teraz znaleźć. Ale jak przyjedzie pan do mnie następnym razem, to panu pokażę.

Gdzie osiedliście?

Dostałam pracę w szkole w Chorzowie. Dla mojej matki, która wychowała się w dużej posiadłości swojego ojca, życie w mieście było bardzo uciążliwe. Nie wyobrażała sobie takiego życia. Bardzo cierpiała. Wiedziałam, że długo tutaj nie wytrzyma. Musiałam coś zrobić.

I co zrobiliście?

Wróciłam z nią na Wileńszczyznę, do Maldziun koło Podbrodzia. Pan wie, gdzie jest Podbrodzie?

Nie mam pojęcia...

To jest koło Wilna. Szkoła, w której zaczęłam pracować, leżała niedaleko granicy. Miałam pod opieką chłopców, którzy byli w Armii Krajowej, ale też takich, którzy zajmowali się kontrabandą. Byli mili, ale jak zaczęli się ze sobą kłócić...

Potrzebowali silnej ręki.

Ja byłam silna. Potrafiłam doprowadzić ich do porządku. Mnie się bali. Nie ruszali mnie.

Tam przepracowała Pani wszystkie lata?

Tak. Bardzo dobrze mi tam było. Jakoś sobie radziłam. Zbudowałam szkołę w Maldziunach, następnie Dom Nauczyciela w Podbrodziu.

To musiał być duży wysiłek. Przecież nie mogła Pani liczyć na niczyje wsparcie?

Nie było łatwo, ale my Polacy trzymaliśmy się razem i jakoś nam się udało. Choć pamiętam, że na początku podsłuchiwali moje lekcje pod drzwiami. Sprawdzali, czy mówię o Stalinie i o Leninie. Musiałam sobie z tym radzić. Chciałam uczyć i chciałam przeżyć.

Nie bała się Pani?

Mój limit strachu wyczerpał się w czasie wojny.

Mówiła Pani, że nie miała kwalifikacji nauczycielskich?

Bo nie miałam. Trzeba to było nadrobić. Spotkałam dobrych ludzi, panią Tomaszewską, panią Szczerbińską, która wydała elementarz, i one mną pokierowały. Najpierw skończyłam seminarium nauczycielskie w Trokach, potem Instytut Pedagogiczny w Wilnie. Ja chyba mówię trochę chaotycznie?

Próbuję nadążyć...

Ale po tych wszystkich latach pracy źle ze mną postąpili. Kiedy skończyłam pracę, to inspektorat oświaty zabrał mi mieszkanie i nie miałam się gdzie podziąć.

I dlatego jest Pani teraz tutaj, w Chorzowie?

Na szczęście zaopiekowała się mną rodzina mojego brata. Niestety teraz nie mogę chodzić, nogi odmówiły mi posłuszeństwa i wspólnie zdecydowaliśmy, że zamieszkam tutaj.

Nie mogłaby Pani mieszkać sama?

Nie, to wykluczone. Potrzebuję opieki. Kiedy miałam zdrowe nogi, to mogłam się poruszać samodzielnie i jakoś sobie radziłam. Teraz siedzę na wózku, bo nie jestem w stanie ustać sama.

Dobrze się Pani tutaj czuje?

Dobrze. Mam dobrą opiekę, choć ciągle są zmiany. Ktoś przyjeżdża, ktoś wyjeżdża. Zmienia się personel, zmieniają się mieszkańcy. Ale chyba to normalna kolej rzeczy. Chociaż ja jestem przyzwyczajona do stałości. Nie lubię zmian.

Ma Pani swój własny pokój, to chyba duży luksus.

Jak pan widzi, to jest teraz mój dom. Mam biurko, przy którym spędzam większość czasu. Ustawiłam je naprzeciwko okna, bo lubię patrzeć na łąki. Uspokaja mnie to i przypominają mi się dawne lata.

Uczniowie o Pani pamiętają?

Tak. Piszą do mnie, kontaktują się ze mną, dzwonią.

To miłe, prawda?

Ja im oddałam całe serce, całe życie. Pracowałam ciężko i starałam się, żeby tym dzieciom było w życiu lepiej. Miałam ciężką młodość i zależało mi na tym, żeby oni mieli trochę łatwiej. Czasem było trudno, ale musiałam dać sobie radę.

Tęskni Pani za tamtym miejscem?

Ciągnie mnie tam. Mam uczennice, które mieszkają na Litwie, w Wilnie. Kiedy przyjeżdżają do mnie, to czuję się tak, jakbym znów była w rodzinnym domu.

Za czym Pani najbardziej tęskni?

Tęsknię za tym, czego już nie ma. Za ludźmi, za pracą, za uczniami.

Po tylu latach pracy w szkole, czego Pani zdaniem powinno się przede wszystkim uczyć dzieci?

Szacunku do innych ludzi. To procentuje na przyszłość. Wierzy mi pan?

Pani Regina ma 86 lat. W Ośrodku MEDI-system HONORATA przebywa od grudnia 2013 r. Większość dnia spędza na rehabilitacji, by utrzymać dotychczasową sprawność. Lubi rozmowy przy kawie z innymi pensjonariuszami. Jeśli tylko dopisuje pogoda, chętnie przebywa w ogrodzie. Wolny czas często spędza w swoim pokoju z książką czy gazetą w ręku albo oglądając dobry film lub program dokumentalny. Uczestniczy w każdej Mszy Świętej, odprawianej w ośrodkowej kaplicy. Bardzo się cieszy z odwiedzin rodziny.

*Najważniejszy w życiu
jest stosunek człowieka
do człowieka. I wielka rola
oraz odpowiedzialność
rodziców i szkoły za
dobre wychowanie...*



Jerzy

Kadet

Kiedy po raz pierwszy umawiam się z Panem Jerzym na rozmowę, jest w pełnym biegu, pomiędzy wieloma sprawami, które ma do załatwienia. Pomimo 92 lat sprawnie organizuje życie sobie, a przez wiele lat również swojej żonie, dla której w miarę starzenia i chorób był niańką, kucharzem, pielęgniarzem i lekarzem. Niestety chwilę przed naszym spotkaniem ma wypadek samochodowy, który na jakiś czas przykuwa go do łóżka. Mimo to umawia się ze mną w dniu swoich urodzin i z góry przeprosza, że przyjmie mnie, leżąc w łóżku. W związku z tym, że Pan Jerzy brał udział w Powstaniu Warszawskim, wiem o nim trochę więcej niż o pozostałych rozmówcach. Pochodzi z bardzo dobrej rodziny i odebrał porządne przedwojenne wykształcenie, co można od razu wyczuć w każdym Jego geście, słowie i przemyśleniu. Wielka klasa w połączeniu z dużą, niezmordowaną siłą. Zestaw, który jest niewyuczalny, można go tylko odziedziczyć w genach. A do tego głębokie pokłady czystej, ludzkiej wrażliwości. Nie znałem mojego dziadka, bo umarł długo przed moimi narodzinami. Ale rozmawiając z Panem Jerzym, miałem poczucie, że Jan Sobierajski, mój dziadek, gdyby żył, byłby właśnie takim człowiekiem.

Panie Jerzy, kto lub co miało największy wpływ na wykształcone u Pana postawy, wartości, idee?

Moi rodzice. No i środowisko. Od dziecka poruszałem się w środowisku dobrych, znanych lekarzy. To sprawiło, że zacząłem interesować się ludźmi, wyrobiło to we mnie poczucie odpowiedzialności za innych, chęć niesienia pomocy, no i... wyrzutów sumienia, kiedy kogoś nie udało się uratować, pomóc mu.

Pana rodzice przeżyli wojnę?

Tak. Matka zginęła w wypadku samochodowym już po wojnie, a ojciec żył jeszcze bardzo długo. Zmarł, mając 82 lata. Interesują pana moje losy?

Tak, bardzo!

A więc proszę pana, przed wojną, od 1936 do 1939 roku, byłem w Korpusie Kadetów we Lwowie. Rodzice mnie tam wysłali,

ponieważ uznali, że będę miał tam odpowiednią atmosferę do rozwoju.

Na czym polegała nauka w Korpusie Kadetów?

To było przeszkolenie wojskowe i normalna nauka gimnazjalna.

I przyszedł 1 września 1939 roku...

Dostałem telegraficzne powiadomienie z Korpusu Kadetów z zaleceniem pozostania w Warszawie. Myśleli, że tam będę bezpieczniejszy. Po klęsce wrześniowej poczułem wewnętrzny impuls, że muszę coś zrobić.

Walczyć?

To też, ale bardzo zależało mi na kontynuowaniu nauki. Miałem skończone gimnazjum, a chciałem zrobić maturę. Zrobiłem ją potajemnie w liceum Lorentza w Warszawie.

No i musiał Pan gdzieś pracować?

Oczywiście.

Gdzie Pan pracował?

Najpierw brukowałem ulice, bo kiedyś Warszawa była brukowana, a nie asfaltowa. Potem byłem ekspedientem w sklepie, później monterem w fabryce silników elektrycznych Szpotańskiego. To właśnie podczas tej pracy zrobiłem maturę i doszedłem do wniosku, że chcę czegoś więcej.

Ciągnęło Pana w stronę medycyny?

Głównie za sprawą mojego wuja, lekarza zakaźnika. On zaprotegował mnie do Szpitala Wolskiego, obecnego Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc. Tam przeszedłem wszystkie stadia pracy w szpitalu. Byłem salowym, następnie pielęgniarzem, instrumentariuszem, potem asystowałem przy operacjach.

Uważam, że przejście tych wszystkich etapów to doskonaliły system kształcenia lekarzy. Obowiązuje jeszcze na przykład w Skandynawii.

Zgadzam się. Przez to ma się większy szacunek dla ludzi, z którymi się pracuje, kiedy jest się już samemu lekarzem.

Jak długo pracował Pan w tym szpitalu?

Spędziłem tam trzy lata. I pewnie bym tam zginął...

Co ma Pan na myśli?

Większość ludzi, którzy tam pracowali, Niemcy rozstrzelali.

Jak się Pan uratował?

Uratował mnie przydział do AK na Mokotów. Pojechałem na Różaną i tam walczyłem w Powstaniu, pełniąc dwie role jednocześnie.

Czyli?

Ja się, proszę pana, bardzo rwałem do walki, do broni. A moi przełożeni chcieli wykorzystać moje doświadczenie sanitarne z pracy w szpitalu. Więc byłem i tu, i tu. Jak czas pozwalał.

W czasie Powstania w 1944 obchodził Pan swoje urodziny. Pamięta Pan coś z tego dnia?

Wie pan, nie bardzo pamiętam. Wtedy człowiek nie zwracał uwagi na takie rzeczy. Obecnie niektórzy próbują zrobić z tego czasu romantyczną historię, ale tak naprawdę to był front, walka.

Rozumiem. Co się stało z Panem po upadku Powstania?

Dostałem się do niewoli. Wywieźli mnie do Niemiec, do stalagu koło Hamburga, i tam byłem do końca wojny. Zapomniałem panu jeszcze powiedzieć, że przed tym zrobiłem rok medycyny na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, a więc jak byłem tam w tej niewoli, to mogłem wykorzystywać swoją wiedzę i pomagać współwięźniom.

Skończyła się wojna...

I Amerykanie, którzy nas wyzwolili, zaproponowali mi, żebym pracował w UNRRA. Wie pan, co to jest?

Tak, United Nation Relief and Rehabilitation Administration, pomagali po wojnie Europie i Azji.

To była międzynarodowa pomoc, a że znałem języki i miałem zawód, to zaproponowali mi, że wyślą mnie do Kanady lub Belgii, sfinansują dalsze kształcenie, ale pod warunkiem, że najpierw zgódzę się pojechać na pięć lat do Konga.

Co Pan postanowił?

Zastanawiałem się nad tym chwilę, ale jak dowiedziałem się, że moi rodzice żyją, to zdecydowałem się wrócić do Warszawy. Skończyłem medycynę, zacząłem pracować w szpitalach. Za każdym razem jakoś tak się układało, że pełniłem dwie role – administracyjną i medyczną.

Znów dwie role, tak jak w Powstaniu.

Ma pan rację. Może miałem za dużo energii?

A może chciał Pan dać ludziom jeszcze więcej?

Może... Jednocześnie pracowałem też za granicą, w Tunisie, wielkim mieście w Tunezji, gdzie byłem chirurgiem w dużym szpitalu. Po powrocie zacząłem pracować w Szpitalu Bielańskim w Warszawie. I tam miałem ciekawą przygodę. Wróciło do mnie Kongo.

W jaki sposób?

Moim pacjentem w szpitalu został radca handlowy z Zairu...

Czyli dzisiejszego Konga.

Tak, i kiedy postawiłem go na nogi, to zapytał, czy nie chciałbym pojechać do Zairu. Zdecydowałem się. Byłem w Zairze trzy lata. Miałem tam idealne warunki do pracy.

Domyślam się. Piękny dom, samochód, obsługa, ogrodnik.

Pracowałem też jako wykładowca na tamtejszym uniwersytecie.

Jednak wrócił Pan do Polski.

Do Otwocka, gdzie przepracowałem kolejne lata.

Do kiedy Pan pracował zawodowo?

Do osiemdziesiątego drugiego roku życia.

Jako chirurg?

Nie. Z chirurgii wycofałem się już jakiś czas temu, kiedy zdałem sobie sprawę, że już nie to oko, nie ta ręka, nie ta pewność. Zacząłem zajmować się administrowaniem w służbie zdrowia i w ZUS jako orzecznik. Dopiero po tym, kilka lat temu, przeszedłem na ostateczną emeryturę.

Kiedy z Panem rozmawiam, to jestem pod wrażeniem Pana zadaniowości, tego, że jak coś trzeba zrobić, to się to robi, nie warto się wahać. Cały czas prze Pan do przodu.

Tak, do przodu.

Skąd to się wzięło?

Moja matka była wielkim społecznikiem i to głównie ona natchnęła mnie ideą pomocy ludziom. Ta idea była dla mnie ważniejsza niż moje osobiste wymagania. Dlatego nigdy nie patrzyłem w tył, tylko przed siebie. Żałuję, że więcej ludzi tego nie robi.

Przeszłością nie warto żyć?

Można, ale po co? Przecież w ten sposób nic się nie stworzy. A przyszłością można wiele zbudować.

Ale nie jest Pan typem marzyciela?

Nie. Jestem do bólu realistą. Lubię być na wszystko przygotowany. Życie chcę mieć zaplanowane. I miałem. W większości udało mi się zrealizować te plany, ale nie zawsze.

Czy wojna, udział w Powstaniu miały wpływ na tę Pana postawę?

Proszę pana, jak już wróciłem do Polski po tym całym wojennym koszmarze, po tym, co działo się we wczesnym PRL-u, to wszystko przemyślałem. Doszedłem do wniosku, że nie mam sobie nic do zarzucenia. I teraz nie chcę o tym myśleć. Idę dalej, patrzę w przyszłość. Tym bardziej że w ciągu całego życia kilka razy byłem bardzo bliski śmierci. Opatrzność dawała mi ostrzeżenia.

Ten wypadek samochodowy sprzed kilku tygodni też był ostrzeżeniem?

Los mi powiedział: „Nie pchaj się, dziadu, więcej za kierownicę!”

(śmiech) Ma Pan duży dystans do siebie?

Nie można siebie brać zbyt serio. To szkodzi na serce i na głowę.

Proszę się nie obrazić, ale przyznam szczerze, że jestem zaskoczony tym, że w tym wieku prowadził Pan jeszcze auto...

Proszę pana, ja też byłem zdziwiony, bo do niedawna myślałem, że nigdy już nie wsiądę za kierownicę. Ostatnie lata i rodzinne przeżycia tak mi dały w kość, że nie miałem siły na nic.

Co Pan przez to rozumie?

Zapadłem na ciężkie zapalenie płuc, niemal śmiertelne. Po leczeniu w dwóch szpitalach, jeszcze nie do końca wyleczony trafiłem do Marianny.

Do ośrodka?

Tak. Jak tam przyjechałem, to byłem wrakiem człowieka. Musiałem przejść wielomiesięczną rehabilitację. Terapeuci w ośrodku, szczególnie pani Sylwia, tak mnie podkręcili, że stałem się na nowo prawie pełnosprawnym staruszkiem i poczułem, że znów mogę wsiąść za kierownicę.

Czy ma Pan dzieci?

Mam. Dwoje. Córka jest anestezjologiem, mieszka od 30 lat we Francji. Syn jest uznanym architektem, mieszka w Warszawie. Mam też wnuki.

Panie Jerzy, gdyby wnuki przyszły do Pana i poprosiły o radę, jak odnaleźć się w świecie, między ludźmi, to co by Pan im powiedział?

Powiedziałbym, że świat daje bardzo dużo możliwości. Trzeba tylko umieć z nich skorzystać. I chcieć.

A co zrobić, żeby być przyzwoitym człowiekiem?

Trzeba mieć jakiś cel w życiu i dążyć do niego w uczciwy sposób.

Tymczasem w dzisiejszym świecie liczą się przede wszystkim pieniądze...

Pieniądze... Powiem panu, że w ciągu całego życia powodziło mi się różnie. Był czas, kiedy miałem dużo pieniędzy, i czas, kiedy nie miałem ich wcale. Dziś wiem, że pieniądze są potrzebne w życiu, ale się rozchodzą. Dużo ważniejsza jest przyzwoitość i uczciwość.

Na koniec naszej rozmowy chciałbym – wykorzystując Pana wiedzę i doświadczenie lekarza – zapytać o to, jak Pan ocenia sytuację starszych ludzi w Polsce. Jesteśmy jednym z najszybciej starzejących się społeczeństw na świecie. Jednocześnie mam wrażenie, że mało kto się tym przejmuje. I zamiast włączać seniorów do społecznego obiegu, wykorzystywać ich niesamowity potencjał, wspierać ich, pomagać, spychamy ich na margines. Starsze osoby znikają z przestrzeni publicznej, stają się niewidoczne.

Zgadzam się z panem, są niepotrzebnym balastem.

Z czego to wynika Pana zdaniem?

Ludzie starsi, często w związku z tym niepełnosprawni, budzą litość albo obrzydzenie. Albo jedno i drugie. Starsi ludzie, choć, jak pan zauważył, jest ich coraz więcej, nie mają możliwości, żeby się wypowiedzieć, wyrazić swoją opinię. Nikt ich nie chce słuchać. Mają się podporządkować.

Dawniej, kiedy pracował Pan jako lekarz, też tak było?

Wiem, co pan chce powiedzieć i co pan chce ode mnie usłyszeć.

Nie, nie wiem, dlatego pytam o to Pana.

Proszę pana, my pracowaliśmy dla chorych z idei. Zarabiało się psie pieniądze, chory był wszystkim... Przepraszam pana...

Wzruszył się Pan...

Tak, bo żał mi, że tego dzisiaj nie ma. Dziś chodzi o to, żeby chory zapłacił i jak najszybciej poszedł.

Z czego to wynika? Z modelu kształcenia lekarzy?

Nie wiem. Myślę, że chęć zapewnienia sobie luksusowego życia przeważa nad uczuciami do człowieka i do chorego.

Ale zdarzają się jeszcze dobrzy ludzie?

Tak! Nie chcę uogólniać. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że najważniejszy w życiu jest stosunek człowieka do człowieka. I wielka rola oraz odpowiedzialność rodziców, szkoły za dobre wychowanie.

To procentuje w przeszłości, prawda?

Bardzo. Mogę o tym Pana zapewnić z perspektywy dziewięćdziesięcioletka, który wiele przeżył i – mam nadzieję – wiele ma przed sobą, pomimo tego, że lekarze naliczyli mi aż 17 chorób.

Pan Jerzy - emerytowany chirurg, działacz AK, powstaniec warszawski - ma 92 lata. Mieszka w Domu Lekarza Seniora w Warszawie. W Ośrodku MEDI-system MARIANNA przeszedł wielomiesięczną rehabilitację, której celem było zwiększenie wydolności oddechowej i powrót do samodzielnego chodzenia. Determinacja i chęć współpracy z fizjoterapeutami pomogła ten cel zrealizować. Zwiększył się zakres pracy płuc, a pan Jerzy zaczął samodzielnie chodzić, nawet wrócił do jazdy samochodem.

*To jest świat, który
w wielu przypadkach
jest jedynym możliwym
do życia. Do dobrego
życia...*



Teresa

Światy

Czasem w życiu zdarza się, że spotykamy na swojej drodze ludzi, do których od razu czujemy sympatię. Może chodzi o energię, może o zapach, albo o inne fale. Niemniej od pierwszego spojrzenia wiemy, że będzie fajnie, że się polubimy. Tak właśnie było z Panią Teresą. Wszedłem do Jej pokoju, podaliśmy sobie ręce na powitanie i oboje wiedzieliśmy, że nasza rozmowa dobrze się potoczy. Pani Teresa jest ograniczona ruchowo, ale ja tego nie zauważam, bo kiedy mówi – głównie za sprawą mimiki Jej twarzy – mam wrażenie, że rozmawiam z kimś niezwykle ruchliwym i energicznym.

Nie jest pan zdziwiony tym miejscem?

Nie, choć jest to inny świat...

No tak, inny. Albo inne światy. Bo tu jest tyle światów, ilu pacjentów.

A jaki jest Pani świat?

Mój świat się bardzo zmienił...

Pod jakim kątem?

Wiem, że nie będę już nigdy chodzić, kręgosłup wysiadł i tyle. Jak zachorowałam, to w klinice obejrzelі mnie ze wszystkich stron i okazało się, że nie mam przewodzenia w kończynach. Przez to nawet nie potrafię się na bok przewrócić, leżąc na łóżku.

Jakie były Pani początki w ośrodku?

Fatalne. Jak tu trafiłam, to byłam bezwolna, nie mogłam ruszyć ani ręką, ani nogą. Musieli mnie karmić jak niemowlaka. Kierownikiem wtedy była pani Maria, która cieszyła się, że przyjadę do ośrodka, bo mówiła, że potrzebuje kogoś mówiącego i rozumiejącego, z kim można pogadać. Ale pierwsze tygodnie były okropne.

Przez warunki, jakie tutaj panowały?

Nie. To nie o to chodziło. Warunki były dobre, a nawet luksusowe, bo nas było wtedy tylko kilkanaścioro.

To co Panią tak podłamało?

Kiedy mnie tu przywieźli, to z karetki przenieśli mnie na noszach do łóżka i ogarnął mnie paniczny strach. Mówię sobie: „Rany boskie!

Co ja tu robię?!” Łóżko miało podniesione boki, żebym z niego nie spadła, byłam przykryta dużą puchową kołdrą. Kołdra puszysta, ja puszysta, tośmy się nie bardzo w tym łóżku razem mieściły.

Rozumiem...

Dziesięć nocy nie spałam w ogóle. Policzyłam kwadraty na podsufitce we wszystkie strony. Dopiero po dziesięciu dniach poprosiłam o coś na spanie i teraz już śpię dość dobrze.

Ale nie zostawili tak tu Pani?

O nie, nie. Zaraz dziewczyny z rehabilitacji mnie wzięły w obroty i doprowadziły moje ręce do takiego stanu, że teraz mogę nimi cokolwiek zrobić.

No to chyba znaczący postęp?!

No pewnie!

Ale rehabilitację ma Pani nadal?

Tak, cały czas. Mogę Panu opowiedzieć, jaki jest mój program dnia.

Bardzo proszę, chętnie posłucham.

Przychodzą do mnie rano, myją mnie, ubierają, sadzają na wózek i wiozą na śniadanie. Po śniadaniu zwykle jeżdżę na rehabilitację i gimnastykuję nogi. Robię tyle, ile mogę, muszę trzymać się w formie. Potem jadę na terapię zajęciową lub na dwór, jak jest ciepło. Potem na obiad, po obiedzie prosto na rehabilitację i pracuję nad rękami. W związku z tym, że w rękach mam odwodzenie, to tu pracuję więcej.

Ma Pani jakieś sukcesy?

No pewnie! Potrafię jedną ręką podnieść półtora kilo pięćdziesiąt razy.

A od ilu Pani zaczynała?

Od pięciu!

To gratuluje! I co potem?

Potem jadę znowu na terapię, a na koniec do pokoju, o wpół do siódmej już mnie nie ma, bo jest „Wspaniałe stulecie”!

To jeszcze trwa?!

Tak. Jest dalszy ciąg. Choć nie jest już tak ciekawie jak w pierwszej serii. Ale za to te kostiumy! Te materiały! Piękne wzory. Wspaniała biżuteria.

Była Pani kiedyś w Stambule?

Nie, nigdy.

Bo jeśli tak Pani lubi piękne materiały i świecidelka, to wyobrażam sobie, jak bardzo spodobałoby się Pani na Wielkim Bazarze.

O Jezus Maria! Dobrze, że mnie tam nie wpuścili! (*śmiech*) Ale za granicą byłam w Bułgarii i w Rosji. Najbardziej podobało mi się w Moskwie. Bo urwałam się z moją koleżanką z wycieczki i niemal całą noc jeździliśmy moskiewskim metrem.

Piękne stacje, prawda? Miasto w mieście.

Przepiękne! Człowiek chciał oczy pogubić. Coś wspańskiego!

A jak wyglądał świat Pani dzieciństwa?

Mój ojciec był dyrektorem gimnazjum i liceum w Niemodlinie. Oprócz tego prowadził chór, w którym śpiewałam. Bardzo lubiałam to robić. Naprawdę to był dobry chór. Ojciec prowadził go świetnie, to muszę mu przyznać. Opowiem panu anegdotę z tamtych czasów. Śpiewaliśmy „Pieśń rycerską” Moniuszki. To szło: „Czy w radzie, czy w zwadzie, czy w swarnej gromadzie, w modlitwie, czy w bitwie, czy harcem w gonitwie, rycerskie rzemiosło przed wszystkiej rej wiedzy, bo wszędy ten pierwszy, kto w boju na przedzie”.

Super! Do tej pory Pani to pamięta.

Tak, bo teraz się zaczyna cały smaczek. Mieliśmy kolegę, który się nazywał Szafraniec. I on nam się któregoś dnia czymś naraził w tym chórze. Myśmy na niego wszyscy psioczyli: „Ty, Szafraniec, taki, owaki!”, „A odczepcie się ode mnie!”. No jak to w szkole. Ale żeby go ukarać, jak żeśmy zaczęli śpiewać, to było: „...rycerskie rzemiosło, przed wszystkiej rej wiedzy, bo wszędy ten pierwszy, kto w boju na przedzie!”. I potem był refren: „Z potrzeby w potrzebę i z cwału w cwał, ze szanica na szaniec... i z wału na wał”. Ale nas coś wtedy opętało i zaśpiewaliśmy ostatni wers: „...ze szanica na szaniec, Szafraniec to wał”! Jezusie! Jak on się rozdarł: „Panie dyrektorze, oni się ze mnie śmieją!”. Wszystko było w porządku, aż doszło do uroczystej akademii. Mój ojciec uprzedził nas, że jak mu zaśpiewamy „Szafraniec to wał”, to się z nami ostro policzy. Zaczęliśmy śpiewać, ale tak bardzo skupialiśmy się na tym, żeby nie zaśpiewać o Szafrancu, że w końcu cały chór odśpiewał: „...ze szanica na szaniec, Szafraniec to wał”. Wszyscy umierali ze śmiechu, a mi to tak się wbiło w głowę, że do tej pory śpiewam to w takiej wersji.

Piękna historia. A Pani mama pracowała?

Mama pracowała w aptece. Pamiętam, jak ucierała leki w moździerz, pamiętam maszynę do wykręcania czopków, no i te zapachy...

Nie chciała Pani zostać farmaceutką?

Chciałam! Ale mama mi odradzała. Mówiła: „Dziecko, nie ma już prawdziwych aptekarzy, wszyscy są teraz sklepikarzami”. Więc poszłam do Krakowa na chemię. Kształcili nas szybko, żebyśmy jak najwcześniej poszli do pracy do przemysłu. Poszłam do służby zdrowia, prowadziłam laboratorium w kopalni Gottwald. Pracę zaczynałam o wpół do szóstej, a więc codziennie wstawałam o wpół do czwartej rano, bo trzeba było zjeść śniadanie, urodę sobie namalować i dojechać do kopalni. I to był wtedy mój świat. Ale potem zmarła mama...

I?

I zostałam sama. I to był już inny świat, bo musiałam zupełnie samodzielnie kierować życiem. No i miałam córkę. Jest to moment, w którym człowiek przestaje być odpowiedzialny tylko za siebie.

To prawda.

Spod jakiego pan jest znaku, jeśli można zapytać?

Spod Wagi.

To dobrze. Bo najbardziej obawiam się Skorpionów. One najpierw kłują, a potem pomyślą.

A Pani jest...?

Jestem Baran. Uparta i nie lubię się podporządkowywać. Najbardziej denerwuje mnie, gdy ktoś próbuje urządzić mi moje życie.

I jaki był ten świat z córką?

Bardzo dobry. Fajna ta moja córka – chociaż Skorpion. (*śmiech*) Mam jeszcze wspianiałą wnusię i prawnusię.

Gratuluję! Ile lat ma prawnuczka?

Dwa lata. Ma na imię Hania. Jest małą kokietką, uwodzi panów. Moja wnuczka się śmieje, że odziedziczyła to po mnie.

To jaki jest, jak wygląda Pani świat teraz, tutaj?

Jak już odzyskałam dzięki rehabilitacji jako taką sprawność, to zaopiekowała się mną pani Agnieszka, która prowadziła tu kiedyś warsztaty terapii zajęciowej, na których malowało się na szkło. Wzięła

kawałek szkła, farbki i pędzel. Podała mi go do ręki, ułożyła palce i mówi: „Niech pani spróbuje, pani Tereniu”. A ja na to: „Nie chcę!”. Prosiła mnie i zachęcała, aż w końcu spróbowałam. Najpierw na małym kawałku szkła, potem na większym. Spodobało mi się to.

Z jakiego powodu początkowo nie chciała Pani malować? Wstydziła się Pani?

Bałam się tego, że mi nie wyjdzie. To było dla mnie coś zupełnie nowego. Nigdy wcześniej nie malowałam. Jak w szkole były rysunki, to zawsze miałam pałę. Bo jak nauczycielka kazała narysować krowę, to narysowałam ją tak, jak widziałam i umiałam, a ona na to: „No ładny ten twój jamnik, tylko dlaczego on ma rogi?”

Malowanie pozwoliło Pani na ułożenie sobie życia tutaj?

Tak, złapałam bakcyła i to mi daje napęd. Za panem stoją dwa moje obrazki.

Piękne! Aż trudno uwierzyć, że Pani wcześniej nie malowała.

Potem namówiła mnie, żebym malowała bardziej po swojemu, żebym wypróbowywała inne barwy. Zaczęłam się bawić kolorami. Ja bardziej potrafię kolorować niż malować, ale cieszę się, jak się to komuś spodoba, jak osoba popatrzy na to, co zrobiłam, i się uśmiechnie.

Kiedy z Panią rozmawiam, to imponuje mi to, że nie ma w Pani żalu do losu, że potrafi Pani pogodzić się z tym, jak wygląda teraz ten Pani świat.

Musiałam to wszystko przepracować. Nie było łatwo. Jak mnie tu rzucili pierwszego dnia na łóżko, to pomyślałam sobie: „Panie Boże, ze trzy, cztery miesiące tu jakoś wytrzymam”, bo myślałam, że będę tu tylko kilka miesięcy, a potem umrę i koniec. Ale jak patrzyłam na innych pacjentów, którzy chodzili po korytarzu, to myślałam: „Jeśli oni chodzą, to może i ja będę mogła się podnieść z tego łóżka”. I to mi pomogło. A potem przyszło malowanie i było coraz lepiej. W efekcie jestem tutaj już ponad cztery lata.

Czyli zna Pani wszystkich pensjonariuszy?

Prawie. Najbardziej lubię, jak gramy w „Inteligencję”. Grał pan kiedyś w „Inteligencję”?

Nie wiem, może...

Państwa, miasta, góry, rzeki, zwierzę, roślina...

No tak! Oczywiście! Tylko u nas na Mazowszu mówi się na tę grę „Państwa, miasta”.

No właśnie. A u nas ma to nazwę „Inteligencja”.

OK...

Tak, a co sobie będziemy żałować? (*śmiech*) I wie pan, że nie ma owocu na E i U?

Naprawdę? Nie chce mi się wierzyć...

Dziewczyny przeszukały internet i encyklopedię. Nie ma!

No może, może... Pani Tereso, a gdyby ktoś się zastanawiał nad tym, czy zamieszkać w takim ośrodku, to co by Pani powiedziała takiej osobie?

Powiedziałabym: „Przyjdź tu, bo tu jest dobrze i ciepło”. Ale nie w sensie, że grzeją kaloryfery, ale że żyjemy wszyscy razem, obok siebie. Nie ma awantur. Jak przychodzi ktoś nowy, to go wchłaniamy, hołubimy, tłumaczymy. No, chyba że ktoś nie chce naszego wsparcia.

To jest świat, w którym da się żyć?

To jest świat, który w wielu przypadkach jest jedynym możliwym do życia. Do dobrego życia.

Pani Teresa ma 85 lat. Cieszy się dużą sympatią pensjonariuszy Ośrodka MEDI-system HONORATA. Większość dnia spędza na terapii zajęciowej, malując piękne obrazy, które zdobią placówkę. Jest laureatką wielu konkursów plastycznych. Lubi rozwiązywać krzyżówki, gdyż – jak sama mówi – dzięki temu ćwiczy pamięć. W czasie terapii zajęciowej jest często duszą towarzystwa. Lubi opowiadać różne historie ze swojego życia, recytować wiersze, śpiewać, żartować. Chętnie uczestniczy w zajęciach rehabilitacyjnych.

*A najgorsze było to,
że nie mogłem nic zrobić,
nie potrafiłem temu
zaradzić. Choroba atakuje
centrum sterowania,
czyli mózg, i całkowicie
uniemożliwia normalne
życie....*



Tadeusz

Góry

Często jako socjolog słyszę pytanie: „Co się dzieje z naszym społeczeństwem? Gdzie się podzieli ci wszyscy kulturalni ludzie?”. Są, ale trzeba ich poszukać głębiej. Chamstwo z natury jest dużo głośniejsze. Sam z uwagą rozglądam się za dobrymi ludźmi i staram się przyciągnąć ich do siebie. Człowiekowi jest milej, kiedy otacza się osobami, które nie są agresywne bez powodu, znają zasady, mówią ładnym językiem, a podłość z natury jest im obca. Takim człowiekiem jest Pan Tadeusz, który zgodził się porozmawiać ze mną jako opiekun swojej chorej żony zmagającej się z chorobą Alzheimera. Bardzo kulturalny, starszy Pan, który uważnie słucha i z rozwagą mówi. Pełen zdrowego dystansu do życia, nieco zaskoczony tym, co na jesień życia zgotował Mu los.

Panie Tadeuszu, może uda mi się namówić Pana na zwierzenia?

Proszę próbować.

Jak poznał Pan żonę?

To jest stara historia. Pracowaliśmy razem. Ja byłem po rozwodzie, poraniony. Bardzo chciałem się z kimś związać...

Bo jak pisała Osiecka: „Czasem chce się do człowieka”.

Tak.

Co Pana najbardziej urzekło akurat w tej dziewczynie?

Trudno to sprecyzować... Całokształt. Potrzebowałem kogoś po poprzedniej stracie, pasowaliśmy do siebie upodobaniami prywatnymi i zawodowymi. I jakoś się to potoczyło.

W którym roku wzięliście ślub?

Pobraliśmy się w 1959 roku.

Niedawno obchodzili Państwo złote gody?

Tak... I boję się, że nie będzie kolejnych...

Dlaczego?

Bo moja żona już praktycznie nie kontaktuje się ze światem. Prawdopodobnie nie widzi, nie słyszy. Nie odbiera sygnałów z zewnątrz. Nie wiadomo, co się dzieje w jej głowie.

Co Państwo najbardziej lubili robić razem?

Podróżować. Dużo jeździliśmy po świecie, ale najbardziej kochaliśmy Tatry.

Uśmiecha się Pan?

Bo to są piękne wspomnienia. Nasze wycieczki po górach, nie tylko polskich.

Zostanmy chwilę przy Tatrach, które również bardzo Kocham. Z jakiego powodu akurat te góry?

W 1955 roku po raz pierwszy zaprowadził mnie w Tatry mój przyjaciel, niestety już od dawna nieżyjący. Od tamtego czasu co roku tam jeździliśmy. Wtedy były to znacznie łatwiejsze góry.

Łatwiejsze?

Mam na myśli, że były mniej zatłoczone, zdeptane, schroniska były prawie puste.

Szlaki były wytyczone?

Nie wszystkie.

Zazdroszczę Panu tych dziewiczych Tatr.

Naprawdę?

Tak, bo teraz ludzie chodzą na Świnicę w kłapkach, a na Giewont z parasolkami i z reklamówkami wypełnionymi puszkami z piwem, które po wypiciu, porzucają na szlaku gdzie popadnie.
To przykre.

Ale wróćmy do Pana żony. Mieliście jakieś ulubione miejsce w Tatrach?

Nie, żadnego szczególnego. Żonie się wszystko w Tatrach podobało.

W jakie jeszcze góry Państwo jeździli?

Najmilej wspominam wycieczkę na Kaukaz w 1964 roku. Wyjechaliśmy tam z PTTK. Zna Pan tę organizację?

Prawie zdążyłem się na nią załapać. (śmiech)

No tak, jest pan bardzo młody. Kiedyś, za moich czasów, działała bardzo prężnie.

Z jakiego powodu wybraliście Kaukaz?

Historia jest prozaiczna. Wpadła mi w ręce mała książeczka „Dzień dobry, Kaukazie”. Przeczytałem ją i się zachwyciłem. Zaraz potem

zapisalem nas na wycieczkę i pojechalismy. Przez dwa tygodnie wędrowalismy z plecakami po zachodnim Kaukazie, od Teberdy przez dwa schroniska do Przełęczu Kłuchorskiej. Chodziliśmy po dwóch lodowcach: Alibek i Pysz.

Weszliście na nie?

Nie byliśmy przygotowani. Najwyższy szczyt, na jaki weszliśmy, to Musa Aczitara, który ma 3100 metrów. Na wysokości, gdzie u nas rośnie kosówka, tam rosły rododendrony, a że był lipiec, to wszystkie tak pięknie kwitły. Kąpalismy się w Morzu Czarnym, gdzie zamiast piasku jest żwir. Jak się nurkowało, było słychać szum kamieni. Odpoczywalismy tam przez 4 dni. Podróż pociągiem z Suchumi do Lwowa – ponad 3000 kilometrów – trwała trzy doby.

Wracaliście potem w góry z dziećmi?

Oczywiście. Najbardziej zaraził się nimi nasz syn. Od tego czasu jest wytrawnym podróżnikiem. Pracuje jako profesor na uniwersytecie w Olsztynie.

Jakiej specjalizacji?

Jest ekologiem.

To może z powodu tych wycieczek w Tatry tak zainteresował się przyrodą i został ekologiem?

Możliwe. (*śmiech*)

Kiedy zauważył Pan, że żona choruje?

Pierwsze oznaki były kilkanaście lat temu, ale nie wiedziałem, co to jest. Moja synowa, która jest psychiatrą, zauważyła to najwcześniej.

Co Pana głównie zaniepokoiło?

Podczas wyjazdów, na przykład do naszych przyjaciół w Bordeaux, żona zachowywała się bardzo dziwnie. Była odosobniona towarzysko. Kładłem to na karb wstydu, nieznajomości języka. Ale prawdziwa gehenna zaczęła się, kiedy pojechalismy razem do Ciechocinka, do sanatorium. Nie chciała chodzić na zabiegi, do lekarza, na posiłki. Wtedy poczułem, że jest naprawdę źle.

Nie podejrzewał Pan choroby Alzheimera?

A skąd! Nic nie wiedziałem o tej chorobie.

Nikt w rodzinie Pana żony nie chorował?

Rodzice żony żyli dość długo i nie byli na to chorzy.

Kiedy dowiedział się Pan o diagnozie, to jaka była Pana reakcja?

Nie pamiętam już. Może dlatego, że codzienne kłopoty z żoną sprawiły, że do pewnych spraw się przyzwyczaiłem. Nie wiedziałem, że to będzie postępować, że tak to się skończy.

Ta choroba nie pozostawia zbyt dużej nadziei?

Chyba żadnej...

To był dla Pana szok?

Oczywiście! A najgorsze było to, że nie mogłem nic zrobić, nie potrafiłem temu zaradzić. Choroba atakuje centrum sterowania, czyli mózg, i całkowicie uniemożliwia normalne życie.

Początkowo zajmował się Pan chorą żoną?

Przez kilka pierwszych lat choroby, ale potem nie miałem już siły. Trzeba mieć do tego końskie zdrowie, a ja jestem po kilku operacjach ortopedycznych, więc sam jestem ograniczony ruchowo.

Kto zdecydował o przekazaniu żony pod fachową opiekę?

Zadecydowaliśmy wspólnie z synem, bo on jest w tym wszystkim najważniejszy... Tu mam zdjęcie syna z żoną.

Syn wygląda na pogodnego człowieka.

Taki jest.

Jak trafiłście akurat na ten ośrodek?

Szukaliśmy dobrego ośrodka wszędzie. I jak już coś znaleźliśmy, to na słowo „Alzheimer” zamykały się wszystkie drzwi. Większość placówek nie chce tych chorych, bo to ogromny kłopot. A w Ostrowii przyjęli nas z otwartymi ramionami. Pojechaliśmy z synem obejrzeć to miejsce. Na wsi, cicho, spokojnie. Zawieźliśmy tam żonę. Za pierwszym razem wzięła swoją walizeczkę z lekami i chciała z nami wracać, ale mój syn Marek łagodnie wytłumaczył jej, powiedział, że ma zostać. I została. Nie protestowała. I od tamtej pory nie przejawia chęci wyjścia.

Zapewne uwierzyła Wam, przecież Ją kochacie, i zrozumiała, że chcecie dla Niej jak najlepiej.

Może. Nie wiem. Trudno powiedzieć.

Jaka była Pana żona przed chorobą?

Szczupła, wysoka i bardzo energiczna. Zawsze uśmiechnięta. Kochana Wandeczka... A już raz prawie wymknęła mi się z rąk.

W sensie życia?

Miała jakąś kardiologiczną przypadłość już od pięćdziesiątego roku życia. Leczyła się na Spartańskiej w Warszawie. Robiła badania i stan był stabilny. Ale któregoś dnia bardzo źle się poczuła. Zawiozłem ją na Spartańską, a tam remont. Powiedzieli nam, żebyśmy pojechali na Wołoską. Tam ją operowali, bo okazało się, że ma dziewięćdziesiąt pięć procent zwężenia naczynia wieńcowego.

O rany!

Uratowali jej życie.

Jak Pan myśli o żonie, to za czym Pan najbardziej tęskni?

Za wszystkim. Moje życie – nasze życie – przechodzi teraz wielką rewolucję. Chciałbym sprzedać mieszkanie w Warszawie i przenieść się do Olsztyna.

Do syna?

Blisko syna, ale nie do niego, bo wychodzę z założenia, że nic tak nie dzieli, jak wspólne mieszkanie.

To ładne! Nie znałem tego.

Chciałbym zamieszkać sam, ale chcę być bliżej dzieci. Ale jeszcze nie wiem. Może to, o czym mówię, to utopia... Zmagam się też ze swoim zdrowiem.

Widzę, że chodzi Pan o kulach?

Zaprzysiężam się z nimi. Jak już mówiłem, miałem trzy operacje na nogi i chyba o jedną za dużo.

Czy kiedy Pana żona zachorowała, to miał Pan wsparcie – oprócz rodziny – w innych osobach, znajomych, przyjaciółach?

Jeśli chodzi o mnie, to nie narzekam. Przyjaciele są i wspierają mnie. Nie czuję się samotny, chociaż teraz mieszkam sam. Ale jeśli chodzi o chorobę żony, to nikt nie jest w stanie pomóc. Nikt do niej nie dotrze. Jest zamknięta w swoim świecie i nigdy nie wiadomo, jak się zachowa.

To co można robić?

Nic. Poddać się i co miesiąc wozic banany.

Nie rozumiem.

Moja żona bardzo lubi banany. Wie pan...

Tak?

Jest jedna rzecz... Przepraszam...

Trudno o tym mówić?

Trudno... Nie mogę się przyzwyczaić do tego... że ile razy stamtąd wyjeżdżam... To, że ona tam zostaje. To okropne uczucie.

Pomimo tego, że wie Pan, że ma tam najlepszą możliwą opiekę?

To jedyne, co mnie ratuje i pozwala po takiej wizycie dojść do siebie. To, że to jest najlepszy ośrodek i opieka, która tam jest. Najlepsza, jakiej można oczekiwać w tej sytuacji. Przepraszam, rozkleiłem się, ale moje nerwy są...

Proszę się nie przejmować. Bardzo dzielnie Pan sobie radzi.

Wie pan, ja jestem racjonalistą, umysłem ścisłym.

I wydawałoby się, że można to jakoś wytłumaczyć, pogodzić się z tym?

Tak, ale racjonalizm nic tu nie pomoże.

Pan Tadeusz ma 87 lat. Zdecydował się powierzyć żonę Ośrodkowi MEDI-system OSTROWIA, ceniąc czystość, jaka tam panuje, oraz ciągłą staranność w jego wielostronnej opiece nad tak trudnymi pacjentami.

*Uczyli mnie, wciągali
w codzienne zajęcia
opieki nad żoną. Cały
czas wymyślali nowe
ćwiczenia, byli bardzo
pozytywni i pracowici...*



Barbara i Krzysztof

Cud

Podjeżdżam pod wskazany adres na jednej z bocznych ulic Ursynowa – największej sypialni stolicy. Doznaję olśnienia! W tym samym budynku mieszkała dziewczyna, z którą spotykałem się w czasie studiów. Od razu czuję się różnie. Wchodzę na znane mi podwórko, które zarosło przez ten czas dużymi krzewami. Dzwonię do drzwi moich rozmówców. Otwiera mi Pan Krzysztof. Wysoki, szczupły mężczyzna w średnim wieku. „Gwiazda jeszcze się szykuje” – mówi do mnie z uśmiechem i porozumiewawczo wskazuje wzrokiem drzwi sypialni. Domyslam się, że mówi o swojej żonie. Pani Barbara po chwili pojawia się w salonie. Ma bardzo pogodną twarz, choć wyczuwam, że jest lekko onieśmielona. Nie zdaję sobie jeszcze sprawy z tego, że historia Jej choroby to jeden z przypadków, które zwykło się zaliczać do kategorii „cudów medycznych”.

K. Był pan w ośrodku w Bielawie?

Nie, jeszcze nie byłem. Ale wybieram się tam jutro.

K. To pan pozwoli, że pana przygotuję.

Dobrze.

K. Tam są trzy kategorie pacjentów. Dla każdej z nich jest niejako oddzielny oddział. W jednym są osoby wentylowane, podłączone do respiratora. Drugi – to osoby starsze, raczej samodzielne. A trzeci – to pacjenci neurologiczni, tak jak moja żona. Trzeba przyznać, że na tym ostatnim oddziale znajdują się niemalże tylko pacjenci w krytycznym, no... beznadziejnym stanie.

Aż tak?

K. Tak, na przykład ludzie z wypadków po zderzeniu czołowym. Stan stabilny, ale nadzieja na odzyskanie zdrowia znikoma.

A jednak Państwu, Pani się udało?

K. Tak, to było... jest... niesamowite.

Jak Pani zachorowała?

K. Moja żona miała od dziecka kłopoty z mową. Trudno jej było dobrać słowa, zaciniała się. Prawdopodobnie już od dzieciństwa miała guza mózgu, ale wtedy nikt tego nie zdiagnozował.

Nic Pani nie czuła?

B. Nic.

K. Ale w 2012 roku zauważyłem, że żona zaczyna mówić coraz wolniej i namówiłem ją, żeby zrobiła badania. Musiałem z naszą panią doktor uknuć intrygę, żeby moja żona dała się przebadać.

B. Powiedziała, że mam krzywy uśmiech i trzeba sprawdzić, z jakiego powodu.

Krzywy uśmiech może być jednym z objawów udaru mózgu.

K. No właśnie! Więc zrobiliśmy badania w Instytucie Psychiatrii i Neurologii i okazało się, że w głowie jest guz wielkości pomarańczy.

B. Od razu zawołali karetkę i chcieli mnie wieźć do Centrum Onkologii, a ja im na to, że nie będę nigdzie jechać, bo nawet obiadu nie jadłam! (*śmiech*)

Nie mieli z Panią łatwo.

K. Operacja była po dwóch dniach. Guz, który miała żona, oponiak jest niezłośliwy i można z nim żyć...

B. Mam w głowie jeszcze jeden, ale malutki.

K. Ale z tym poprzednim się nie dało, bo rósł i uciskał nerwy.

I co potem?

K. Wszystko poszło dobrze, ale po wielogodzinnej operacji okazało się, że wystąpił obrzęk mózgu i wysiadają kolejne funkcje życiowe. Co tu dużo mówić, nadchodziła śmierć, a więc znów trzeba było operować. Ale niestety po tej drugiej operacji nie było większej poprawy.

Potrzebny był trzeci zabieg?

K. Badali żonę, prześwietlali mózg, okazało się, że są krwaki, zdecydowali się więc na trzecią operację, mówiąc, że to będzie ostatnia. Znów otworzyli czaszkę, wykroili kawałek mózgu i zaszyli.

Z tego, co Pan mówi, lekarze nie mieli nadziei na to, że uda się Panią Barbarę uratować?

K. Powiem dyplomatycznie: powierzyli sprawę naturze. Po operacji położyli żonę na oddziale i obserwowali. Stan się ani nie poprawiał, ani nie pogarszał.

B. No w sumie nie mógł się już pogorszyć.

K. To prawda.

I co Pan zrobił?

K. Zacząłem szukać hospicjum. Przy Centrum Onkologii jest taka placówka. Złożyłem dokumenty. Jednocześnie żona miała prowadzoną

rehabilitację, żeby nie robiły się przykurcze. Rehabilitantka poinstruowała mnie, co mam robić, i wieczorami, kiedy byłem przy żonie, to ją gimnastykowałem.

Jak długo była Pani w Centrum Onkologii?

B. Dwa miesiące.

Czy przez ten czas ktoś z Państwem rozmawiał na temat przyszłości żony, możliwych rozwiązań?

K. Nie. Otrzymałem jedynie dwa rodzaje pomocy. Pierwsza – to ta od rehabilitantki. To, że mogłem ćwiczyć z żoną, sprawiało, że na czymś się skupiałem.

A druga?

K. Pielęgniarki, widząc mnie, zlitowały się nade mną i umówiły mnie na wizytę u psychologa.

Pomogło?

K. Bardzo. Po spotkaniu i rozmowie poczułem się trochę lepiej... I zacząłem szukać rozwiązań. Kolega mi powiedział, że znał kogoś w podobnej sytuacji i chorego umieszczono gdzieś pod Warszawą, w jakimś ośrodku. Poszukałem w internecie i znalazłem placówkę w Konstancinie.

Trafił Pan na to miejsce przypadkiem?

K. Przypadkiem. Dowiedziałem się, jakie są wymagania, poszedłem do Centrum Onkologii i powiedziałem profesorowi: „Zabieram żonę, bo znalazłem dla niej ośrodek”.

Nie był zdziwiony?

K. Trudno powiedzieć. Nie słyszał o tym ośrodku, ale się zgodził.

Nie sądzą Państwo, że brak wiedzy lekarzy ze szpitali o takich miejscach jak Konstancja, czy innych tego typu w Polsce, to jest jakaś systemowa skucha?

K. Tak, to jest skucha. Bo widzi pan, ja jestem bardzo operatywny, jestem specjalistą od internetu i wiem, jak szukać informacji. Ale niech to będzie człowiek, który tego nie umie? To skąd weźmie pomoc?

Nie ma szansy, żeby trafił do takiego ośrodka.

K. Żadnej.

B. Ale Centrum Onkologii to wspinały szpital.

Znam dobrze to miejsce i rzeczywiście to znakomita placówka.

I na pewno bardzo Państwu pomogli.

K. Byli bardzo życzliwi i zaangażowani.

Co się działo, kiedy Państwo trafili ze szpitala do ośrodka?

K. Na początku był szok... Ale po kolei. Kiedy żona leżała w szpitalu, to była otoczona aparaturą i podpięta do niej rurkami. W Konstancji wszystko odłączono i zrobiło się wokół niej bardzo cicho. Po tygodniu okazało się, że nie ma problemów z ciśnieniem, ale stan wegetatywny nadal się utrzymywał.

Nie bał się Pan, że jak wszystko odłączą, to Pani Basia umrze?

K. Oczywiście, że się bałem! Ale pan doktor w Konstancji to niezły spryciarz...

W dobrym tego słowa znaczeniu?

K. Widać było, że to lekarz z bardzo dużym doświadczeniem. Sprawdzał, jakie leki brała żona i... wszystkie zmienił!

Jak to?

K. Tak to!

I co potem?

K. No właśnie nic złego. Żona leżała, stan był stabilny, ale ja czekałem na rehabilitację. Powiedzieli mi, żebym się nie denerwował, że wiedzą, co robią. Po tygodniu zaczęli zabiegi. Najpierw powoli, a potem po kolejnych dwóch tygodniach przyszedł do mnie rehabilitant, pan Grzesio – cudowny człowiek – i powiedział: „Sadzamy żonę!”

Wspaniale!

K. Najpierw przelewała się przez ręce, ale potem było coraz lepiej.

Rehabilitanci musieli dużo pracować, żeby ćwiczyć całe ciało.

K. To była codzienna, mrówcza praca, wyczerpująca rehabilitantów fizycznie. Poproszono mnie, żeby żonę cały czas stymulować, czytać książki, zaplanować grafik odwiedzin tak, żeby znajomi nie pojawiali się grupą, tylko oddzielnie. Jedna rzecz tylko mi przeszkadzała. Jeśli żona miała jakieś miłe reakcje, na przykład uśmiech, to tylko do innych ludzi, nigdy do mnie.

Zapewne już wie Pan dlaczego?

K. Pani psycholog mi to wyjaśniła. Byłem jedyną osobą, tą najbliższą, na której żona mogła wyładowywać złe emocje, bo nasza córka mieszka na drugim końcu świata.

Zatem był Pan z tym wszystkim sam?

K. I tak, i nie, bo wokół było dużo przyjaciół, znajomych. Żonę wszyscy bardzo lubią. Ale ostatecznie, wie pan... człowiek sam zostaje z problemem.

Ale dryl rehabilitacji żony pozwolił Panu przetrwać ten czas?

K. A wie pan, że właśnie tak było? To, co mi się najbardziej w tej Konstancji podobało, to że wszystko było rozpisane według tabelki, harmonogramu, a rehabilitacja nigdy nie trwała nawet o minutę krócej. Inwestowali też we mnie.

Co ma Pan na myśli?

K. Uczyli mnie, co mi wolno, czego mi nie wolno, jak im mogę pomóc w rehabilitacji. No i ci rehabilitanci, pani Ania i pan Grzesio...

Co z nimi?

B. Wspaniali!

K. Wciągali mnie w codzienne zajęcia opieki nad żoną. Wymyślali nowe ćwiczenia, byli bardzo pozytywni i pracowici. Dzięki temu i ja byłem bardziej zaangażowany. Nie miałem czasu na czarne myśli. Nauczyłem się sadzać żonę na wózek, a więc w soboty mogłem ją na przykład zabierać do tężni. Po jakimś czasie odłączyli jej cewnik, potem rurkę od tracheotomii zastąpili rurką foniczną.

B. Mąż mi obiecał, że bliznę po dziurze na szyi będę mogła zakryć brylantem, który mi kupi.

Kupił?

B. No właśnie jeszcze nie! (*śmiech*)

Może niebawem? (*śmiech*)

B. Czekam na to!

No i przyszedł w końcu ten moment, że żona stanęła na nogi?

K. Któregoś dnia Basia przekabaciła jedną z salowych, żeby opuściła jej barierkę przy łóżku. Po czym wstała, umyła zęby, ubrała się i poszła na śniadanie. Wszyscy zdębieli!

Stał się cud!

K. Tak. Cud.

Po jakim czasie to się stało?

K. Żona trafiła do Konstancji chyba 8 maja, a wstała sama z łóżka pod koniec lipca.

I wtedy wypisano Państwa z ośrodka w Bielawie?

K. Nie. Sami zdecydowaliśmy.

Sami?

K. Tak. Kiedy odjeżdżaliśmy z Centrum Onkologii, nasz lekarz powiedział: „Nie wiem, dokąd pan zabiera żonę, ale sądzę, że to dobre miejsce. Jak ją uruchomią i będzie mogła chodzić, to proszę do mnie zadzwonić, wtedy ją umieszczę na rehabilitacji na Sobieskiego”.

I zadzwonił Pan.

K. Basia potrzebowała kolejnej stymulacji. Bo w Konstancji nacisk położony jest na rehabilitację ruchową, odbudowę mięśni, równowagi. A żonie potrzebna była na kolejnym etapie rehabilitacja neurologiczna.

Interesuje mnie jeszcze ten moment, kiedy zdecydowali Państwo, że Pani Basia wraca do domu.

K. Trudno wychwycić jakieś konkretne zdarzenie. To jakoś po Konstancji samo szło...

Panie Krzysztofie, skąd Pan miał siłę na to wszystko?

K. Wie pan co... Też się nad tym zastanawiałem. Jedyna odpowiedź jest taka, że byłem w jakimś rytmie codziennych zadań. Nie miałem czasu na to, żeby się nad sobą użalać. Dom, firma, pies, obiady – bo gotowałem dla żony zupy, jak była w Centrum Onkologii – dojazdy do szpitala kilka razy dziennie. Potem w Konstancji okazało się, że jest już inny system żywienia, specjalnie dostosowany do pacjenta, a więc...

Miał Pan więcej czasu?

K. I zaczęło być ze mną gorzej. Nasza pani doktor zaproponowała mi, żebym znowu poszedł do psychologa. Zgodziłem się. Dała mi skierowanie. Pani psycholog zaproponowała mi dwadzieścia wizyt.

Bardzo słusznie.

K. Okazało się, że te rozmowy mi bardzo dużo dały. Jestem gadułą, ona słuchała i dawała mi tylko delikatne wskazówki. W tym najważniejszą.

Jaką?

K. Żebym zadbał o siebie.

No właśnie.

K. Żebym jeździł do żony na rowerze, a nie samochodem, żebym umówił się z kolegami na piwo, poszedł do kina, na masaż. Zacząłem to stosować. Ale robiłem to też dlatego, że miałem nadzieję, że żona...

Przeżyje?

K. Na początku tylko to się dla mnie liczyło. Nie spodziewałem się w najsmielszych marzeniach, że będzie w takim stanie, jak jest teraz.

Jest taka prosta zasada, o której zapominamy w sytuacjach trudnych, krytycznych, że żeby pomóc drugiej osobie, to musimy najpierw zadbać o siebie. Nie na darmo w samolotach powtarza się, że w sytuacji awaryjnej najpierw zakładamy maskę sobie, a później dziecku. Choć odruch jest wręcz przeciwny.

K. To była bardzo cenna rada.

Mają Państwo poczucie, że dostaliście od losu drugą szansę?

K. Przyznam się panu, że przed chorobą żony byliśmy małżeństwem, które dużo czasu spędzało osobno. Nawet na wakacje do córki jeździliśmy oddzielnie. Byliśmy bardzo daleko od siebie.

B. A teraz jesteśmy bardzo blisko. Nie raz powtarzam sobie, że wprawdzie kochałam męża całe życie, ale jaka ja byłam głupia, że kochałam go tak mało!

Pani Barbara i Pan Krzysztof są małżeństwem od 44 lat. W maju 2013 r. pani Barbara trafiła na rehabilitację do Ośrodka MEDI-system KONSTANCJA w bardzo ciężkim stanie. Po pięciu miesiącach rehabilitacji odzyskała sprawność. Obecnie małżonkowie zwolnili tempo życia (są na emeryturze) i starają się spędzać dużo czasu na działce. Odwiedzają, w miarę możliwości, córkę i wnuki (niestety lot trwa całą dobę). Lubią polowania i brydża. Kibicują polskim siatkarzom i piłkarzom ręcznym. Są bardzo szczęśliwi.

Wydawca książki dziękuje za finansowe wsparcie projektu firmom



Autor wywiadów

Tomasz Sobierajski

Autorka zdjęć

Monika Szalek/monikaszalek.com

Projekt graficzny

Lena Maminajszwili/masZ

Korekta językowa

Jolanta Lewińska

Przygotowanie

do druku i druk

studio reklamy i wydawnictw masZ

ISBN 978-83-946082-0-0

©MEDI-system 2016

Patron medialny



